

MEMORIAŁ  
General Marii Wittek



brak adj.

++ 1984

SEMADENI Irena (1924)

zd. Konopacka

AK  
W-wa  
Miasto

644/wsk

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — SEMADENI Jrena  
z d. Konopaeka  
644/WSK

**I. Materiały dokumentacyjne**

- I/1 – relacja właściwa ✓
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora
- I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

**II. Materiały uzupełniające relację** ✓

**III. Inne materiały** (zebrane przez „relatora”):

- III/1 – dot. rodziny relatora ✓
- III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. — 1945
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945)
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —
- III/5 – inne... —

**IV. Korespondencja** ✓

.....  
.....  
.....  
.....

**V. Wypisy ze źródeł** [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓

**VI. Fotografie** —

## I 11 Relacja właściwa

- Upomnienia Zbigniewa Semadeniego o matce Jrenie Semadeni-Konopackiej, wydruk, k. 12 s. 11b; Legaz, kopia, k. 6 s. 13-24





### Irena Semadeni-Konopacka (1901–1984)

Urodziła się 5 maja 1901 r. w Hołuzji (powiat Sarny, północny Wołyń, na granicy Polesia) jako jedyne dziecko inżyniera Wojciecha Antoniego Konopackiego i Konstancji z Zaleskich (w rosyjskich dokumentach zamiast „Wojciech” pisano „Albert”).

Wojciech Antoni Konopacki był synem Józefa Gustawa Rocha Konopackiego i Leopoldy z Konopackich. Józef Gustaw Roch Konopacki (używał imienia Gustaw) był synem Antoniego Konopackiego i Ksawery z Teleżyńskich. Leopolda Konopacka była córką Wojciecha Konopackiego (właściciela Kamieniuch i Woronek) i Klotyldy z Moszyńskich. Irena pamiętała dobrze Leopoldę, zwaną babcią Polą, jak również jej brata Mariana, powstańca z 1963 r., człowieka pełnego inicjatyw (m. in. na przełomie stuleci miał jedną z pierwszych taksówek w Warszawie).

Rodzina Wojciecha Antoniego Konopackiego w Hołuzji była bardzo patriotyczna, o poglądach postępowych (wówczas mówiono: demokratycznych), walczyła z rusyfikacją. Gdy Irena miała 4 lata, w związku z rewolucją 1905 r. jej ojcu nie udało się spłacić kolejnej raty pożyczki zaciągniętej w banku w Dorpacie i majątek, będący od 1736 r. w posiadaniu rodziny Konopackich, został zlicytowany; co gorsza, zgodnie z ówczesnym carskim prawodawstwem, nie mógł go kupić Polak, przeszedł więc w ręce rosyjskie.

Rodzina przeniosła się do Konotopu (miasto ok. 200 km na pn.-wschód od Kijowa), gdzie ojciec pracował na kolei. Później Irenę wysłano do Moskwy, do gimnazjum z internatem dla dziewcząt-katoliczek (były to niemal wyłącznie Polki). Przez 3 dni w tygodniu wszystkie lekcje odbywały się wyłącznie po rosyjsku (innego języka w te dni nie było wolno używać na lekcji), a przez pozostałe 3 dni — wyłącznie po francusku. Zgodnie z ówczesnymi poglądami o rozwijaniu pamięci, dziewczętom kazano uczyć się na pamięć ogromnych fragmentów literatury francuskiej: Corneille’a, Racine’a i innych.

27 kwietnia 1917 r. w Konotopie umiera matka Ireny. Wojciech Konopacki mieszka teraz z córką w Moskwie. Po rewolucji październikowej starają się o pozwolenie na powrót do Polski. Irenę puszczono, jej ojca jako inżyniera zatrzymano. Nigdy nie dostał zgody władz bolszewickich na wyjazd. Natomiast Irenie udało się pojechać z Warszawy do ojca do Moskwy dwukrotnie: w roku 1934 i ponownie w 1938 r. Złoty polski był wówczas twardą walutą, toteż Inturist chętnie organizował takie wizyty. Wojciech Konopacki zawsze w kwestionariuszach podawał, że ma córkę w Polsce, nigdy się jej nie wyparł; dzięki temu wizyty te okazały się możliwe. Natomiast po 1945 r. nigdy nie udało się jej, pomimo wielkich starań, ujrzeć ojca; zdołała jedynie rozmawiać z nim przez telefon. Zmarł w Moskwie 2 września 1953 r.

W 1919 r. Irena Konopacka jako 18-letnia dziewczyna znalazła się sama w Warszawie, w której nikogo nie знаła. Była blondynką średniego wzrostu, o typowej kresowej twarzy, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Przez rok uczęszczała do klasy maturalnej w prywatnym gimnazjum H. Gapnerówny. Mieszkała na Powiślu przy ul. Elektrycznej, w dzielnicy biedoty. Utrzymywała się z korepetycji z matematyki (podstaw algebry nauczył ją ongiś jej ojciec; zrobił to tak jasno, że nigdy nie miała z tym przedmiotem żadnych kłopotów). Część

zarobionych na korepetycjach pieniędzy musiała z kolei przeznaczyć na wzięcie korepetycji z łaciny, której nie uczyła się w Moskwie; miała też zaległości w języku polskim i musiała włożyć wiele wysiłku w pozbycie się rosyjskiego akcentu. Wyso-ko cenił ją nauczyciel fizyki, Witold Pogorzelski, późniejszy profesor matematyki na Politechnice Warszawskiej i członek PAN; znajomość ta okazała się istotna, gdy organizowano tajne komplety w czasie okupacji hitlerowskiej.

Po zdaniu matury wstąpiła na Politechnikę, jednak szybko zorientowała się, że nie podola tym studiom finansowo. Zdecydowała się więc na tańsze studia w Państwowym Instytucie Dentystycznym. Gdy ukończyła je w lipcu 1925 r., prof. Alfred Meissner zaproponował jej, by została jego asystentką. Początkowo asystowała w jego prywatnym gabinecie, a od października 1926 pracowała u niego przez 6 lat w Klinice Chirurgii Stomatologicznej. Uważała zawsze profesora Meissnera za swego mistrza i całe życie propagowała jego podejście do chirurgii szczękowej.

W 1927 r. poślubiła Tadeusza Semadeniego, sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie (potem wiceprokuratora Sądu Apelacyjnego), znanego działacza pływackiego, syna Władysława Semadeniego, pastora superintendenta Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego). Ponieważ dyplom wystawiony był na jej panięskie nazwisko, całe życie w oficjalnych dokumentach używała podwójnego: Semadeni-Konopacka, ówczesnym zwyczajem zaczynającego się od nazwiska męża; na co dzień używała nazwiska Semadeni. Rodzice Władysława Semadeniego przybyli ze Szwajcarii ok. roku 1835. Władysław i Tadeusz mieli obywatelstwo szwajcarskie do lat dwudziestych, kiedy to zmienili je na polskie.

Od 1928 roku Irena Semadeni pracowała dodatkowo jako stomatolog w Banku Polskim w Warszawie; praca ta była bardzo dobrze płatna, stanowiła najważniejszą część budżetu rodzinnego.

Ważną rolę w jej życiu odegrała praca w latach 1932-1935 w charakterze lekarza wolontariusza (tzn. bez płacy) w Klinice Położnictwa i Chorób Kobięcych Uniwersytetu Warszawskiego. W zachowanym, odręcznym piśmie datowanym 25.XI.1949 kierownik tej Kliniki, prof. Adam Czyżewicz stwierdza, że „prowadziła systematycznie specjalnie w Klinice urządzoną przychodnię dla osób ciężarnych, położnic i ginekologicznie chorych, a to w celu wykazania, czy najrozmaitsze zabiegi stomatologiczne mają jakiś wpływ na przebieg ciąży względnie na przebieg schorzeń narządu rodnej kobiety. Sprawa ta, podówczas jeszcze sporna, została na podstawie pracy D<sup>r</sup> Semadeni Konopackiej definitywnie rozwiązana. Ze swej strony mogę z przyjemnością zaznaczyć, że Pani D<sup>r</sup> Semadeni Konopacka odznacza się obok dużego zamiłowania do pracy w swoim zawodzie i obok niezmordowanej pilności, nadzwyczaj ujmującym odnoszeniem się do chorych, wysokim taktem i serdecznym zajęciem się powierzonymi jej pacjentami.”

Do tych opublikowanych w 1937 r. wyników badań (które objęły 276 ciężarnych), Irena Semadeni wróci po wojnie, obalając defitywnie dość rozpowszechniony wcześniej pogląd, że w przypadku zaawansowanej ciąży nie należy u ciężarnej wykonywać żadnych krwawych zabiegów w obawie przed poronieniem. Wykazała



m.in., że — przy prawidłowym zabiegu — poronienia można się nie obawiać, natomiast groźne jest pozostawienie nieusuniętego zęba, który rozsiewa zarazki; co więcej, stany zapalne jamy ustnej zaostrzają się w czasie połogu i bywają miejscem wyjścia zakażenia ogólnego.

Miała dwóch synów. Starszy, Allan Andrzej (zwany „Alik”, „Jędrak” lub „Bomba”), urodził się 17 kwietnia 1928; drugi, Zbigniew Władysław — 1 marca 1934. Tego drugiego porodu (cesarskie cięcie u prof. Czyżewicza) omal nie przypłaciła życiem.

Zbliżającą się wojnę z Niemcami oceniała bez iluzji, jak osoba, która przeszła w Rosji czasy rewolucyjne. Wiedziała, że potrzebne będą porządne buty i zapas jedzenia. Już w sierpniu 1939 r. porcelana została została solidnie zakopana w piwnicy. Dzieci swe wywozła daleko na Wołyń, do majątku Stawki, leżącego pomiędzy Lubomlem a Włodzimierzem Wołyńskim, będącego w posiadaniu krewnych jej matki, Zaleskich. Sama została zmobilizowana jako lekarz. Po 17 września jej oddział rozpadł się. Przedostała się do Stawek, zorganizowała tam parę kucyków (inne konie zarekwirowałyby wojsko) i piechotą wyruszyła w drogę do Warszawy (tylko 5-letni Zbyszek jechał na wozie). Pierwszy etap — to dojazd do Bindugi i nocleg u znajomych, Krzyżanowskich. Z Bindugi przeprawa przez Bug łodzią (a wóz z kucami — brodem) na drugą stronę do Dubienki; później podobna przeprawa przez Wieprz. Raz na szosie minął ich patrol Krasnej Armii i raz na noclegu byli rewidowani przez bolszewików, poza tym podróż przebiegała bez przygód. Po trzech tygodniach, 6 października 1939 r. dotarli do Warszawy.

Tadeusz, mąż Ireny, zgłosił na początku wojny na ochotnika do wojska (w stopniu szeregowca). Dostał się do niewoli sowieckiej, gdzie wiarygodnie udawał chłopca ze Stawek, potem udało mu się uciec i dotrzeć do Warszawy.

Przez całą okupację ciężar utrzymania rodziny spadał głównie na Irenę. Tadeusz pracował dorywczo, zajmował się dużo sprawami konspiracyjnymi, m.in. działał w Departamencie Sprawiedliwości Delegatury Rządu na Kraj. W grudniu 1943 r. przywiózł ze Lwowa do Warszawy Zofię Rapp po jej ucieczce z rąk Gestapo, co opisane zostało w książce S. Jankowskiego („Agatona”) *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*; była w ostatnich dniach ciąży i Tadeusz, czule do niej przytulony w pociągu, powtarzał jej stale „Zosiu, poczekaj, poczekaj, jeszcze nie rodź”. W marcu 1944 r. został wiceprezesem Rady Programowej Stronnictwa Pracy (jednego z czterech głównych stronnictw Polski Podziemnej — demokratycznego, antysanacyjnego, centrowo-chadeckiego ugrupowania politycznego utworzonego w 1937 r. pod wpływem Paderewskiego; do władz SP należał m.in. Jan Stanisław Jankowski, Delegat Rządu RP na Kraj).

Irena początkowo kontynuowała swą rozpoczęta jeszcze przed wojną prywatną praktykę w wynajmowanym gabinecie przy ul. Żurawiej 4. Okazało się to niepraktyczne, więc rodzina przeniosła się ze spółdzielczego mieszkania przy ul. Fałata 6 na Mokotowie do wynajętego mieszkania w Śródmieściu przy ul. Noakowskiego 20 m. 3, naprzeciwko Politechniki. Tam Irena założyła prywatny gabinet stomatologiczny, źródło utrzymania rodziny. Miała taki zwyczaj, że gdy pacjent pytał się, ile ma płacić, Irena podawała stawkę zależną od swej oceny jego stanu finan-

sowego (w przypadku kobiety — przede wszystkim od jej pończoch); od niektórych osób nie brała nic. Gabinet był dobrym parawanem dla działań konspiracyjnych; chronił także przed wyłączeniami prądu. Oprócz Ireny Semadeni w gabinecie tym przyjmowała pacjentów Janina Krzyżanowska (wówczas „Maliszewska”, żona „Wilka”, komendanta AK w Wilnie, matka Olgi Krzyżanowskiej, późniejszego wicemarszałka Sejmu z 1989 r.). W mieszkaniu tym odbywało się też tajne nauczanie gimnazjum Batorego, na które uczęszczał Alik.

Lato 1941 r. Irena Semadeni spędza w Zakopanem wynajmując pokój od góralki Marii Karpielowej (z domu Krzeptowskiej) na Skibówkach. Wakacje te były przykrywką do głównego celu przyjazdu. Otóż jakiś czas wcześniej przedostał się z Węgier na nartach przez Tatry Janusz Rudnicki, taternik, wybitny działacz narciarski (wiceprezes PZN), przyjaciel Semadenich. W Zakopanem udał się do swej przedwojennej znajomej, nie wiedząc — jako przybysz — o jej współpracy z Niemcami. Zadenuncjowany, aresztowany w pociągu w Szaflarach, trzymany był w więzieniu w Nowym Targu. Jego żona, Katarzyna starała się wyciągnąć go stamtąd, wykorzystując znajomości Karpielowej na Podhalu. Nie udało się to. Rudnicki zginął później w Oświęcimiu.

Przez długi czas Irena Semadeni była „ciotką cichociemnych”. Oznaczało to, że w podanym przez kuriera z Londynu terminie miała póty przebywać w mieszkaniu, dopóki nie zgłosi się skoczek z Anglii. Hasłem było: „Przybywam ze Stawek”. Skoczek taki najpierw odsypiał jedną lub dwie doby, a potem jego „ciotka” miała przez ok. 2 tygodni wprowadzać go w codzienne życie wojennej Warszawy. Tylko niektórzy ze skoczków znali to miasto przed wojną, wszyscy jednak musieli się adaptować do zupełnie nowej sytuacji. Po takim okresie wstępnym przechodzili do wykonywania tego zadania, dla którego zostali zrzućeni. Irena podlegała komórce „Ewa” kierowanej przez „ciocię Antosię” (Michalinę Wieszniewską). Przez mieszkanie przy ul. Noakowskiego przewinęło się trzynastu skoczków, m. in. „Dźul” (zrzucony do Polski 4 marca 1942 r.) i „Szary” (skok 16 września 1943 r.). Kilkadziesiąt lat później, nad grobem Ireny Semadeni-Konopackiej, jeden z cichociemnych, wspomniany już Stanisław Jankowski („Agaton”), podkreślając bohaterstwo „ciotek” zwrócił uwagę, że przyjmowały do siebie do domu zupełnie nieznaną im osoby i narażały nie tylko siebie, lecz także męża i dzieci, którzy w razie wykrycia skoczka przez Gestapo mogli być wszyscy wysłani do Oświęcimia.

1, 20

Irena Semadeni nieraz opowiadała następującą historię docenta Henryka Becka, którego znała z kliniki prof. Czyżewicza. Był to Żyd, o typowo semickich rysach i sposobie wystawiania się. W czasie wojny Beck znalazł się we Lwowie. Opiekował się swym ojcem, który niezbyt dobrze orientował się w sytuacji. Po zajęcia Lwowa przez Niemców, nie chcąc, by ojciec musiał nosić gwiazdę Dawida i doznawać upokorzeń, położył go jako chorego w szpitalu, w którym pracował. Pewnego dnia do szpitala weszli SS-mani. Gdy Beck zorientował się, że szukają Żydów i ich zabierają, wstrzyknął ojcu przygotowaną uprzednio truciznę. Z tą chwilą uznał, że nie ma potrzeby dalej przebywać we Lwowie, i wyjechał do Warszawy. Zjawił się na Noakowskiego 20, prosząc o pomoc. O przechowywa-



niu go w mieszkaniu, przez które przewijało się wiele osób, nie było mowy. Irena Semadeni doczekała zapadnięcia zmroku, bowiem w dzień Beck był zbyt łatwy do rozpoznania na ulicy jako Żyd. Wsiadła z nim do zaciemnionego tramwaju, tak aby nikt go nie widział, i zawiozła na Grochów do swego krewnego, Stanisława Konopackiego (b. wojewody wołyńskiego). Następnego dnia jeden z przyjaciół powiadził jej w sekrecie najnowszą wiadomość: Beck jest w Warszawie, widziano go wczoraj wieczorem, jak jechał tramwajem na Dworzec Wschodni. Na Grochowie Beck przebywał jakiś czas, potem znaleziono mu lepszą kryjówkę: pokój bez okien w centrum Warszawy, trudny do zauważenia w czasie rewizji. Tam doczekał Powstania, gimnastykując się codziennie i starając zachować dobrą formę. W 1945 r. zaferowano mu katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zmarł niestety wkrótce potem.

Na 1 sierpnia 1944 r. Irena Semadeni dostała przydział do szpitala ZUS (róg Czerniakowskiej, Książęcej i Rozbrat). Za pseudonim przyjęła imię swej matki: Konstancja. Po tygodniu Doktor Konstancja dostała rozkaz przejścia do małego filialnego szpitala zorganizowanego w tych dniach w prywatnych mieszkaniach przy ul. Okrąg 4<sup>a</sup>. Była tam jedynym stałym lekarzem. Do pomocy miała grupę sanitariuszek, głównie harcerek, które przeszły konspiracyjne szkolenie.

Tadeusz Semadeni był w czasie powstania sędzią specjalnego sądu orzekającego o winie i karze osób kolaborujących przedtem z Niemcami. Ich syn, Allan Andrzej, 16-letni harcerz ze zgrupowania „Golskiego”, walczył w obronie Politechniki i awansował do obsługi karabinu maszynowego. Tadeusz zginął 19 sierpnia w czasie niemieckiego ataku na Politechnikę. W powstańczym nekrologu podano, że poszedł z butelką benzyny na czołg. Tegoż popołudnia trafiony został Alik. Otrzymał w brzuch serię kul dum-dum z karabinu maszynowego; obok stał jego najbliższy przyjaciel Antek Mączak, późniejszy profesor historii na UW. Alika wzięto do szpitala przy ul. Lwowskiej, gdzie zmarł w czasie operacji (operował go dr Zbigniew S. Lewicki, przyjaciel Tadeusza z AZS i świadek na jego ślubie). Ciało Tadeusza Irena nigdy nie znalazła mimo długotrwałych, uporczywych poszukiwań po wojnie; wiedziała, że znając dobrze jego uzębienie, rozpozna nawet szczątki.

Okolo 21 sierpnia, dowiedziawszy się o śmierci męża i syna, Irena przysłała nocą do Śródmieścia i wzięła do swego szpitala na Czerniaków młodszego syna, 10-letniego Zbyszka. W sierpniu w tym rejonie ciężkich walk nie było. Szpital otrzymywał dwa razy dziennie świeżą prasę powstańczą, w niedzielę lżej ranni chodzili na mszę połową odprawianą przy gmachu komendy przy ul. Okrąg 2. Niemiecki atak na Czerniaków rozpoczął się w początku września. Po opanowaniu Starego Miasta głównym ich celem stało się odcięcie Polaków od Wisły, za którą, na Saskiej Kępie, od 14 września znajdowały się wojska radzieckie i polski 1. pułk piechoty. Była to ostatnia szansa dla Powstania, dlatego walki były wyjątkowo zacięte. Obszar, na którym działał szpital, podlegał dowódcy zgrupowania, kpt. „Krysce”.

Po zbombardowaniu budynku przy ul. Okrąg 4<sup>a</sup> szpital przeniesiono do piwnic przy Okrąg 2. Był to wielki, bardzo solidnie zbudowany budynek bankowców, który stał mocno pomimo wybuchu dwóch bomb, niezliczonej liczby pocisków,



wybuchu „goliata” w narożniku od strony ul. Czerniakowskiej i pożaru wzniesionego w celach obronnych przez powstańców. W połowie września pierścień sił niemieckich zaciskał się. Doktor Konstancja operowała rannych niemal bez przerwy, dzień i noc. Wyciągała odłamki, szyla rany, amputowała kończyny. Przesypiała na stojąco chwile pomiędzy ukończeniem jednej operacji i zdjęciem rannego a położeniem na stole następnego. Od czasu zbombardowania budynku bardzo wszystkim dawał się we znaki pył; po każdym pocisku unosiły się tumany i trzeba było oddychać przez mokrą chustkę. Nigdy jednak nie zdarzyło się, by narzędzia nie były wygotowane do kolejnej operacji.

W ostatnich dniach niepodległego Czerniakowa szpital ewakuowano do piwnic niedalekiego domu przy ul. Wilanowskiej 18 (po wojnie przemianowaną na ul. Gwardzystów). Nocą z 18 na 19 września żołnierze Radosława wycofywali się. Większość przeszła kanałami na Mokotów, niektórzy próbowali przepłynąć Wisłę. Część lżej rannych poszła z nimi. Doktor Konstancja nakazała sanitariuszkom opuszczenie szpitala i udanie się z wojskiem, sama zaś została z rannymi. Ostatni powstańcy opuścili budynek o godz. 2 w nocy. O godz. 6 rano przyszli Niemcy. Nie wierzyli zapewnieniom, że to wszystko cywile (zresztą ludność cywilną z okolicznych domów rozstrzelano również, ciała ich leżały na podwórku między Okrąg 4<sup>a</sup> a Wilanowską 18). Domyślając się, co może nastąpić, Doktor Konstancja umieściła syna w jednej z pustych piwnic i zamknęła drzwi. Młody oficer SA wyciągnął białe rękawiczki i przystąpił do rozstrzeliwania rannych. Doktor Konstancji kazał sprawdzać, czy trafieni żyją. Rozstrzelał ok. 110 osób. 17 rannych przeżyło tę egzekucję; do niektórych piwnic Niemiec nie dotarł, pewnych rannych Doktor Konstancja zakryła poduszkami, niektórzy żyli mimo postrzału głowy. Po wyjściu tego oddziału i przyjściu innego oficera SS (Austriaka) Doktor Konstancja zaczęła domagać się ewakuacji pozostałych rannych. Niektórych rzeczywiście wyniesiono na noszach (ale po wojnie mówiono jej, że ich też gdzieś rozstrzelano).

Siedmiu rannych nie zdążono ewakuować. Przeniesiono ich na Okrąg 2, gdzie zostali ulokowani nie w piwnicach, jak uprzednio, lecz luksusowo, na parterze. Przez dwa tygodnie samotna grupka ludzi żyła na opustoszałym Czerniakowie, ku zdumieniu przechodzących czasem patroli niemieckich. W dzielnicy tej w tym czasie nikt bez specjalnego pozwolenia nie miał prawa przebywać. Doktor Konstancja dokonała kilku wypraw chcąc się czegoś dowiedzieć i zdobyć jedzenie (m. in. raz doszła do ul. Czerwonego Krzyża). Każdy jej powrót wywoływał wzruszającą radość pozostawionych rannych.

W końcu nadeszła wiadomość o kapitulacji Powstania. Doktor Konstancja udała się do siedziby Gestapo w al. Szucha i tam wytargowała specjalną przepustkę upoważniającą ją do ewakuacji rannych z Czerniakowa. Syna Zbyszka (z którym przedtem nie rozstawała się w ogóle) zostawiła na Lwowskiej, a sama poszła na plac Trzech Krzyży szukać silnych mężczyzn, którzy koniecznie chcieli się dostać do zamkniętej strefy Czerniakowa. Brała ich na swoją przepustkę pod warunkiem, że w drodze powrotnej wniosą jedne nosze Książęcą do góry. Całą siódmkę rannych udało się w ten sposób ewakuować i wszyscy dożyli szczęśliwie końca wojny. Jedną z rannych była druhna Ninka Bemówna (później z męża Dymecka), sanitariuszka ze

szpitala na Okrąg, osierocona po śmierci ojca (oficera AK), którą Irena Semadeni opiekowała się później przez kilka miesięcy.

Przez kilka miesięcy po wojnie Irena Semadeni zwykła mawiać, że Powstanie — to najszczęśliwszy okres w jej życiu. Miała takie uczucie pomimo straty dwóch najbliższych osób i zagłady miasta. Aby to zrozumieć, trzeba wziąć pod uwagę m. in. fakt, że Powstanie pozwalało odreagować poprzednie 4 lata terroru i poniżenia.

Okazało się, że mieszkanie przy ul. Noakowskiego 20 nie jest spalone. Irena Semadeni wzięła do kieszeni parę kleszczy: jedno do usuwania zębów, drugie do korrzeni. Były to kleszcze opracowane przez prof. Meissnera, zastępujące dawniejsze duże i kosztowne zestawy. Wiedziała, że mając je przy sobie zawsze zarobi na życie, nawet bez gabinetu. Po zabranii tylu rzeczy, ile zdołali unieść (w tym fotografii rodzinnych), 6 października 1944 r. (w piątą rocznicę powrotu ze Stawek) poszli w trójkę (z Ninką i Zbyszkim) piechotą — jak wszyscy — do Dworca Zachodniego. Przepustka z Gestapo pozwoliła im uniknąć obozu w Pruszkowie. W czasie krótkiego pobytu u swych krewnych Duninów w Otrębusach, Irena Semadeni, która w czasie Powstania straciła ok. 15 kg na wadze, doszła do wniosku, że najlepiej doczekać końca wojny gdzieś na wsi, gdzie będzie dość jedzenia i wszyscy się odkarmią. Całą wojnę dbała o zapewnienie rodzinie odpowiedniego, zdrowego pożywienia, wyznając filozofię, że z dwóch osób wziętych do obozu większe szanse przeżycia ma ta, która była lepiej przedtem odżywiana.

Wsi bez dentysty oczywiście w Polsce nie brakowało; pytanie było, w jakiej okolicy jest dobra gleba i zarazem zdrowy klimat. Wybór padł na wieś Brzuchania, 7 km od Miechowa, w okolicy pagórkowatej, znanej z lessowych gleb. Przybyli tam w czwórkę, razem z teściową, Heleną Semadeni. Irena Semadeni na fotelu fryzjerskim, kręcąc nożną wiertarką, przyjmowała pacjentów. Pod koniec pobytu w Brzuchani jeździła nawet do technika do Krakowa zamawiać korony. Warunki w Brzuchani były dość prymitywne (klepisko w chacie, noszenie wody z dalekiej studni, całą jesień błoto po kolana), ale jedzenia było w bród.

Irena namawiała Kasię Rudnicką, żonę wspomnianego wcześniej Janusza, by przeniosła się do nich na wieś z córką Anką (w rodzinie Anka uważana była za stałą dziewczynę Aliką). Kasia jednak wolała pobyt u znajomych w Krakowie. Decyzja ta okazała się fatalna w skutkach: Anka zachorowała na gruźlicę. Rok później, już w Gdańsku, Irenie śniło się, że przyszła do niej Anka mówiąc: „Będę wkrótce widziała Aliką. Co mam mu powiedzieć?”. Następnego ranka przyszedł telegram z wieścią o jej śmierci.

Po 17 stycznia 1945 r. Irena Semadeni udała się w drogę do Warszawy (częściowo pieszo, częściowo podwożona przez żołnierzy Armii Czerwonej). Dotarła do Radomia, gdzie dowiedziała się, że dom przy ul. Noakowskiego 20, podobnie jak wiele innych, został spalony po Powstaniu przez specjalne ekipy niemieckie. Wróciła więc do Brzuchani, skąd w marcu wszyscy stopniowo przenieśli się do Podkowy Leśnej koło Warszawy. Tam Irena Semadeni przyjmowała pacjentów w gabinecie Z. Marczewskiej-Iwanickiej. W lipcu zdecydowała, że do Warszawy nie wraca, i pojechała na zwiad do Gdańska.

Na jej dalsze decyzje duży wpływ miały dwie wspomniane wcześniej wizyty w



Moskwie. Wielogodzinne rozmowy Ireny z ojcem umożliwiły jej poznanie realiów życia w kraju komunistycznym. W przedwojennej Polsce oczywiście znane były prześladowania, jakich ludzie doznawali od bolszewików, mało kto jednak wiedział, jak naprawdę się tam żyje, co jest ważne, a co nie. Opowiadała m.in. że w wielorodzinnym mieszkaniu, gdzie żył jej ojciec, idąc do toalety trzeba było brać ze sobą żarówkę i nie zapomnieć przynieść jej z powrotem. W ramach jednej z ogólnych, odgórnie nakazanych akcji, Wojciech Konopacki musiał zostawać po pracy w biurze i uczyć swych współpracowników tańców towarzyskich (wcześniej surowo zakazanych) i dobrych manier. Przewodniczka Inturistu z wielkim przekonaniem tłumaczyła, że budynek szkoły, tej do której chodziła Irena, został zbudowany po rewolucji. Tak więc dzięki tym dwóm wizytom w Moskwie Irena Semadeni mogła w 1945 r. trzeźwo ocenić sytuację. Stwierdziła, że możliwości prywatnej praktyki prędko się skończą, a godziwe życie może mieć ktoś związany z uczelnią.

Została adiunktem i kierownikiem Kliniki Stomatologicznej Akademii Lekarskiej w Gdańsku. Klinika zajmowała barak przy ul. Dębinki. Irena Semadeni pracowała również na pół etatu w szpitalu przy ul. Świerczewskiego, głównie po to, aby móc doglądać swoją nie wstającą już z łóżka teściową, dla której załatwiła tam separatkę i stała opiekę pielęgniarską. Trzy razy w tygodniu przyjmowała też pacjentów w swym prywatnym mieszkaniu przy ul. Batorego 4 m. 2 (na przemianę z wspomnianą już Janiną Krzyżanowską).

Irena Semadeni była świadoma, że dyplom stomatologa to za mało, aby awansować w hierarchii akademickiej. Pomimo ogromnego obciążenia pracą zawodową zdecydowała się ukończyć medycynę. Zaliczono jej trzy lata na poczet studiów stomatologicznych i w 1946 r. przyjęto na IV rok. Do lata 1948 r. zaliczyła wszystkie wymagane zajęcia V roku oraz rozpoczęła zdawanie 16 egzaminów dyplomowych.

We wrześniu 1948 r. Irena Semadeni odkryła u siebie guz na prawym sutku. Pobrano próbkę, wynik badania był: rak. Po paru dniach odbyła się wielogodzinna, radykalna operacja. W tym samym tygodniu, dnia 24.XI.1948 zmarła jej teściowa, Helena Semadeni; Irena nie brała już udziału w pogrzebie. Przez wiele dni po operacji stan chorej był bardzo ciężki: skrzepy, problemy z sercem; niektórzy sądzili, że już z tego nie wyjdzie. Gdy stan jej poprawił się, przez wiele tygodni przebywała w Instytucie Radowym w Warszawie na naświetlaniach.

Po powrocie do Gdańska zdała pozostałe egzaminy dyplomowe, a następnie ukończyła i obroniła swą pracę doktorską „Schorzenia jamy ustnej w okresie ciąży i porodu”. Promotorem był kierownik Kliniki Chorób Kobiety i Położnictwa prof. Henryk Gromadzki (senior). Dnia 1 czerwca 1950 Rada Wydziału Lekarskiego AL w Gdańsku nadała jej stopień doktora medycyny. Prywatną praktykę zakończyła definitywnie wcześniej, z momentem operacji.

Jesienią dostała propozycję objęcia stanowiska zastępcy profesora i kierownika Katedry Chirurgii Stomatologicznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie („zastępca profesora” było stanowiskiem specyficznym dla owych czasów dotkliwego braku kadr; oznaczało pełnienie funkcji profesora bez posiadania wymaganych kwalifikacji). Irena Semadeni propozycję przyjęła i w listopadzie 1950 r. przybyła

do Szczecina, przeniesiona służbowo przez Ministra Zdrowia.

Opuszczała Gdańsk bez żalu. Miała tam wielu oddanych przyjaciół (do najbliższych należeli: prof. Stanisław Wszelaki z żoną Janiną oraz dr Stanisław Pawłowski z żoną Wandą), była w bardzo dobrych stosunkach z rektorem W. Czarnockim i wieloma innymi osobami, ale doznała też niezawinionych przykrości. Należy wyraźnie zaznaczyć, że nie były to przykrości ze strony UB (choć stale czuła się zagrożona, bardziej zresztą ze względu na okupacyjną działalność swego męża niż swoją). Natomiast boleśnie odczuła intrygi pewnych popieranym przez partię stomatologów oraz nękanie Urzędu Skarbowego w Gdańsku, który (realizując politykę walki klasowej z wszelką prywatną działalnością) jeszcze w wiele lat po zlikwidowaniu przez nią prywatnej praktyki nasyłał jej do Szczecina komornika z powodu niezapłacenia jakichś dodatkowych domiarów, orzeczonych w parę lat po definitywnym zaprzestaniu przyjmowania pacjentów. Jej strach przed Urzędem Skarbowym był tak silny, że w Szczecinie nigdy nie wyrobiła sobie pieczętki lekarskiej, toteż nie mogła wystawiać recept i w razie potrzeby musiała zwracać się do kogoś z lekarzy w Klinice.

Po Klinice Stomatologicznej w Gdańsku Irena Semadeni organizowała od podstaw drugą w Szczecinie. Początkowo Klinika Chirurgii Stomatologicznej była dołączona do Kliniki Laryngologicznej (przy placu Unii Lubelskiej) i liczyła zaledwie kilka łóżek. Pracował tam tylko jeden lekarz (S. Żelaźnik). Aby zapewnić chorym należyta opiekę, przez pierwsze tygodnie Irena Semadeni nocowała w Klinice, pełniąc w ten sposób stały dyżur. W 1952 r. Klinika przeniosła się do obecnych pomieszczeń w Szpitalu Klinicznym II na Pomorzanach i rozwinęła się stopniowo do pełnej Kliniki o 40 łóżkach, zapewniającej pomoc specjalistyczną chorym z trzech ówczesnych województw.

Po przeniesieniu do Szczecina głównym tematem badań Ireny Semadeni była promienica twarzowo-szyjna; uwieńczone to zostało opublikowaniem monografii na ten temat (1955). Praca ta była brana pod uwagę przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną, gdy w tymże roku nadano jej tytuł docenta. W lipcu 1955 r. Minister Zdrowia powołał ją na stanowisko samodzielnego pracownika nauki.

Następnym większym dziełem, któremu poświęciła wiele pracy, była „Traumatologia szczękowa” (1963), pierwsza książka z tej dziedziny w Polsce. Maszynopis jej był istotnym argumentem dla CKK przy nadawaniu Irenie Semadeni tytułu profesora nadzwyczajnego; 22.IX.1961 Przewodniczący Rady Państwa powołał ją na to stanowisko.

Obok rozlicznych spraw organizacyjnych główną Jej troską było przygotowanie personelu lekarskiego, który mógłby podjąć pracę w Klinice. Powoli rosła obsada Kliniki, w której najliczniejszą grupę stanowią absolwenci pierwszego rocznika stomatologii PAM z roku 1953. W przedmowie do „Traumatologii Szczękowej” Irena Semadeni dziękuje za współpracę następującym swoim współpracownikom: Kazimiera Budzińska-Michałkiewicz, Gertruda Chrzanowska, Janina Grudzińska, Regina Kantorek, Krystyna Lemm, Stanisław Łazarski, Jerzy Malinowski, Jadwiga Mazurkiewicz, Krystyna Mojseowicz, Krystyna Sońta i Barbara Wronowska. Była promotorem w 10 ukończonych przewodach doktorskich, w tym Jerzego Mali-



nowskiego, obecnie profesora w PAM w Szczecinie. Doktoryzował się u niej również Józef Kraszewski z Wojskowego Szpitala Garnizonowego w Szczecinie, późniejszy profesor Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej w Warszawie.

Poza kierowaniem Kliniką Chirurgii Stomatologicznej, Irena Semadeni pełniła w Szczecinie wiele różnych funkcji, wymienionych tu w kolejności chronologicznej: Pełnomocnik ministra do spraw stypendiów dla studentów Oddziału Stomatologicznego (od marca 1952 r.), Kierownik Przychodni Chirurgii Stomatologicznej w Przychodni Specjalistycznej (od czerwca 1952 r.), Konsultant Wojewódzki (od 1953 r.), Kierownik Oddziału Stomatologicznego (od sierpnia 1959 r.), członek Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej przy Prezydium WRN (od grudnia 1965 r.). Brała udział w nakazanej tej Komisji przez Ministerstwo weryfikacji dyplomów wszystkich bez wyjątku lekarzy woj. szczecińskiego (aby nikt nie czuł się urażony, jako pierwszy weryfikowany był dyplom rektora Akademii Medycznej; w wyniku żmudnej pracy Komisji znaleziono jeden dyplom sfalszowany i mnóstwo uchybień formalnych). Była recenzentem w 4 przewodach habilitacyjnych (poza Szczecinem) i licznych doktorskich.

Irena Semadeni miała organizm wyjątkowo silny i wytrzymały; do końca życia miała wszystkie zęby bez plomby. Jednocześnie przez długie lata trapiły ją przeróżne choroby. Osiem razy w życiu była operowana pod narkozą. Ok. roku 1942 przeszła dwa poważne ataki *angina pectoris*. O operacji gdańskiej była już mowa. W czasach szczecińskich serce dokuczało jej stale i była pewna, że nie dożyje emerytury. W drugiej połowie lat 60-tych powoli zaczęła się rozwijać u niej cukrzyca, która przez lata miała później podkopywać jej zdrowie. W tym samym czasie — również powoli i początkowo niezauważalnie — zanikać zaczęły nerwy w prawej ręce. Lekarze nie potrafili definitywnie ustalić przyczyn tego zanikania; wskazywali na wycięcie węzłów chłonnych 20 lat wcześniej i na naświetlania rentgenowskie, ale podejrzewano też cukrzycę. Dla Ireny Semadeni, chirurga, stopniowo malejąca sprawność prawej ręki była potężnym ciosem. Nie chciała zaakceptować tego faktu; próbowała ukrywać to, co wszyscy widzieli. W latach 70-tych miała trudności nawet ze złożeniem tą ręką podpisu. Nauczyła się dobrze pisać lewą ręką.

Zimą 1968/1969, w 68. roku życia, przeszła ciężkie zapalenie płuc i stan jej zdrowia znacznie się pogorszył. Z ulgą przyjęła propozycję rektora PAM Adama Krechowickiego zwolnienia jej ze wszystkich zajęć dydaktycznych i organizacyjnych. Było to *de facto* przejście na emeryturę, jednak z zachowaniem przez jeszcze 2 lata pełnych poborów. Przeprowadziła się do Warszawy, do tego samego mieszkania spółdzielczego, w którym spędziła pogodne lata 1930–1939.

Kilkoro jej uczniów miało w tym czasie stopień doktora, nikt jednak się jeszcze nie habilitował. Kierownictwo Kliniki przejął adiunkt, jej były uczeń, dr Sylwester Kowalik. Ukończywszy studia stomatologiczne w 1954 r. został on asystentem w Klinice Chirurgii Stomatologicznej. Dostał od Ireny Semadeni pozwolenie jednoczesnego studiowania medycyny (takie poszerzenie wykształcenia leżało w długofalowym interesie Kliniki, bieżąco obciążało jednak innych pracowników). W latach 1957–1965 pracował on w Klinice Laryngologicznej u prof. J. Taniewskiego,

po czym wrócił do Kliniki Chirurgii Stomatologicznej. W roku 1967 opuścił Klinikę i objął stanowisko ordynatora oddziału laryngologicznego w Brzegu nad Odrą, skąd powrócił w roku 1969 (później przez dwie kadencje był I sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR przy Akademii Medycznej w Szczecinie).

Zbigniew Semadeni zdał maturę w 1951 r. w Gdańsku i został przyjęty na fizykę na Uniwersytecie w Poznaniu. Został pracownikiem naukowym, najpierw w Katedrze Matematyki UAM, później w Instytucie Matematycznym PAN. W 1967 r. przeniósł się do Warszawy. Do Szczecina przyjeżdżał często, ale nigdy tam nie mieszkał. Irena Semadeni czuła się dość samotnie. Miała niewątpliwe powołanie do wychowywania chłopców. W czasie okupacji opiekowała się Tadeuszem Konopackim, synem swego kuzyna znajdującego się w oflagu, Jana Konopackiego. Do Szczecina przybył do niej najpierw Wojtek Rodowicz, sierota (bratanek Jana Rodowicza, legendarnego „Anody” z „Kamieni na szaniec”), a kilka lat później Jaś Klimaszewski (wnuk Jana Konopackiego). Obaj uczyli się w Szczecinie przez całą szkołę średnią, zdali maturę i wyjechali studiować dalej.

Irena Semadeni traktowała Szczecin z wielką sympatią. Należała do grupy pionierów tego miasta, przybyła w czasach, gdy były tam jeszcze zgliszcza, a sytuacja niepewna. Czuła się w Szczecinie dobrze, była doceniana przez władze lekarskie i polityczne (m. in. gdy ok. 1966 r. poczuła się zagrożona od strony partyjnej przez pewnego wpływowego członka PZPR, kierownictwo Akademii Medycznej stanęło po jej stronie). Była dumna ze Złotego Gryfa, nadanego jej przez władze miasta (1958), a także ceniła bardzo odznakę „Za wzorową pracę w służbie zdrowia” (1953).

Kontakty towarzyskie utrzymywała niemal wyłącznie w sferach lekarskich. Do najbliższych jej przyjaciół należeli: Lackorzyńscy i Drescherowie. Miała też doskonałe stosunki z Górnickimi i Murczyńskimi. Wszyscy byli zresztą sąsiadami, mieszkali w rejonie ulic: Wojska Polskiego, Zalewskiego, Przybyszewskiego i Traugutta. Z Murczyńskimi jeździła przez wiele lat codziennie o godz. 8 rano samochodem rektora na Pomorzany. Bardzo wysoko ceniła chirurga prof. T. Sokołowskiego.

Od polityki i partii trzymała się całe życie z daleka. Była wierzącą katoliczką i gorącą zwolenniczką marszałka Piłsudskiego.

Formalnie Irena Semadeni przeszła na emeryturę dnia 30.IX.1971 r. Z tej okazji przyznano jej Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Później otrzymała m. in. członkostwo honorowe Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego oraz tytuł honorowy „Zasłużony Lekarz PRL”. Wielkim szacunkiem darzyli ją weterani zgrupowania kpt. „Kryski”, a także cichociemni. W latach 80-tych przekazano jej z Londynu Krzyż Walecznych, nadany jej przez polskie władze emigracyjne dnia 4.IX.1949.

Całe życie cechowała ją niespożyta energia i wielka siła woli. Potrafiła pogodzić obowiązki z intensywną działalnością zawodową. Przed wojną, gdy było trzeba, pełniła w towarzystwie funkcję żony sędziego Semadeniego, której nie wypadało przyznać się w pewnych kręgach do faktu, że pracuje zawodowo (a tym bardziej do tego, że zarabia więcej niż mąż). Była przy tym bardzo kochającą żoną i czułą



matką. Otrzymała nienagane wychowanie, miała świadomość dziedzictwa kultury starego rodu szlacheckiego i czuła się swobodnie w salonach; wiedziała też dobrze, co to bieda, głód i ciężka harówka.

Potrafiła zdobyć się na taki wysiłek, do jakiego zdolni są tylko nieliczni: i wtedy, gdy jako 19-letnia maturzystka musiała — oprócz normalnego uczęszczania do szkoły — żyć z dawania korepetycji i sama brać korepetycje, i jako Doktor Konstancja na Czerniakowie, czy wreszcie w Gdańsku, gdy mając dom, pracę na półtora etatu i prywatną praktykę, znalazła dość sił na ukończenie studiów medycznych i zrobienie doktoratu. Stanowczo i energicznie wymuszała posłuch i działanie tam, gdzie to uważała za konieczne. Jednak w latach 60-tych jej ocena podległych jej lekarzy budziła pewne kontrowersje.

W dzieciństwie miała dużą, rozgałęzioną rodzinę, wiele ciotek, kuzynów i innych krewnych. Pod koniec jej życia, w wyniku wojen, prześladowań, przypadków losowych i emigracji nie pozostał w kraju, poza synem i trzema wnuczkami, prawie nikt.

Całe życie lubiła podróże. Wspominała swe przedwojenne wyjazdy z mężem, m. in. gdy towarzyszyli polskiemu ekipom pływackim. Chodziła po górach, w 1957 r. zdobyła brązową Górską Odznakę Turystyczną. Będąc na emeryturze odbyła wiele egzotycznych podróży (jako członek zorganizowanej grupy lub sama statkiem towarowym). Między innymi wybrała się statkiem na trzy miesiące do Afryki, a także innym razem na kilka tygodni na Morze Śródziemne (w trakcie tego rejsu miała niespodziewaną okazję zwiedzać Albanie). Zdarzyło się, że kapitan jednego ze statków towarowych początkowo nie chciał wziąć na pokład 80-letniej turystki, przyznał jednak później, że najlepiej ze wszystkich zniosła sztorm na Biskajach.

Do końca życia pomimo niesprawnej ręki, a później też słabnącego wzroku, cukrzycy i nadciśnienia, pozostała aktywna, niezależna, dążąca do dominacji. Była członkiem zarządu spółdzielni mieszkaniowej, w której mieszkała, i działaczem ogródków działkowych. Uprawiała ogródek już wcześniej w Szczecinie; w Warszawie poświęcała temu wiele czasu i to niewątpliwie wpłynęło dodatnio na jej zdrowie. Dożyła szczęśliwie wyboru Polaka na papieża, a potem chwili, gdy jej prawnuczka urodziła się w Klinice na Starynkiewicza, tej samej, gdzie ongiś ona sama była wolontariuszem u prof. Czyżewicza. Przez całe życie lubiła książki; w ostatnim roku życia nauczyła się obsługiwać magnetofon i wypożyczała z Instytutu Niewidomych kasety z nagranyimi utworami literackimi, których słuchała, gdy czytać już nie była w stanie.

W marcu 1984 r. udar mózgowy spowodował paraliż lewej strony. Po kilku tygodniach pobytu w Szpitalu Czerniakowskim zmarła 8 kwietnia 1984 r., w wieku niemal 83 lat, w 15 lat po opuszczeniu Szczecina. Pochowana została obok innych członków swej rodziny na Cmentarzu Ewangelicko-Reformowanym w Warszawie przy ul. Żytniej. Na pogrzebie Pomorską Akademię Medyczną reprezentował świeżo wybrany jej rektor, prof. Sylwester Kowalik, następca Ireny Semadeni w Klinice Chirurgii Stomatologicznej. W bardzo ciepłych słowach wspominał to, czego całe życie uczyła innych, czemu zawsze dawała świadectwo swoim przykładem: dobro chorego musi zawsze być na pierwszym miejscu.

Zbigniew Semadeni

adres: ul. Fałata 6 m. 24,

12

02-534 Warszawa

telefon domowy: 49-03-71

e-mail: SEMADENI@MIMUW.EDU.PL



Taraka

Kopie die inz. Einrichtungsbes.  
Sylvetteportavosne z Zawsackij  
Korur Konotninskogo VII 97

**Irena Semadeni-Konopacka (1901–1984)**

Urodziła się 5 maja 1901 r. w Holuzji (powiat Sarny, północny Wołyń, na granicy Polesia) jako jedyne dziecko inżyniera Wojciecha Antoniego Konopackiego i Konstancji z Zaleskich (w rosyjskich dokumentach zamiast „Wojciech” pisano „Albert”). Była to rodzina bardzo patriotyczna, walcząca z rusyfikacją, o poglądach postępowych (wówczas mówiono: demokratycznych). Gdy Irena miała 4 lata, w związku z rewolucją 1905 r. jej ojcu nie udało się spłacić kolejnej raty pożyczki zaciągniętej w banku w Dorpacie i majątek, będący od 1736 r. w posiadaniu rodziny Konopackich, został zlicytowany; co gorsza, zgodnie z ówczesnym carskim prawodawstwem, nie mógł go kupić Polak, przeszedł więc w ręce rosyjskie.

Rodzina przeniosła się do Konotopu (miasto ok. 200 km na pn.-wschód od Kijowa), gdzie ojciec pracował na kolei. Później Irenę wysłano do Moskwy, do gimnazjum z internatem dla dziewcząt-katoliczek (były to niemal wyłącznie Polki). Przez 3 dni w tygodniu wszystkie lekcje odbywały się wyłącznie po rosyjsku (innego języka w te dni nie było wolno używać na lekcji), a przez pozostałe 3 dni — wyłącznie po francusku. Zgodnie z ówczesnymi poglądami o rozwijaniu pamięci, dziewczętom kazano uczyć się na pamięć ogromnych fragmentów literatury francuskiej: Corneille’a, Racine’a i innych.

27 kwietnia 1917 r. w Konotopie umiera matka Ireny. Wojciech Konopacki mieszka teraz z córką w Moskwie. Po rewolucji październikowej starają się o pozwolenie na powrót do Polski. Irenę puszczono, jej ojca jako inżyniera zatrzymano. Nigdy nie dostał zgody władz bolszewickich na wyjazd. Natomiast Irenie udało się pojechać z Warszawy do ojca do Moskwy dwukrotnie: w roku 1934 i ponownie w 1938 r. Złoty polski był wówczas twardą walutą, toteż Inturist chętnie organizował takie wizyty. Wojciech Konopacki zawsze w kwestionariuszach podawał, że ma córkę w Polsce, nigdy się jej nie wyparł; dzięki temu wizyty te okazały się możliwe. Natomiast po 1945 r. nigdy nie udało się jej, pomimo wielkich starań, ujrzeć ojca; zdołała jedynie rozmawiać z nim przez telefon. Zmarł w Moskwie 2 września 1953 r.

W 1919 r. Irena Konopacka jako 18-letnia dziewczyna znalazła się sama w Warszawie, w której nikogo nie знаła. Była blondynką średniego wzrostu, o typowej kresowej twarzy, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Przez rok uczęszczała do klasy maturalnej w prywatnym gimnazjum H. Gapnerówny. Mieszkała na Powiślu przy ul. Elektrycznej, w dzielnicy biedoty. Utrzymywała się z korepetycji z matematyki (podstaw algebry nauczył ją ongiś jej ojciec; zrobił to tak jasno, że nigdy nie miała z tym przedmiotem żadnych kłopotów). Część zarobionych na korepetycjach pieniędzy inusiła z kolei przeznaczyć na wzięcie korepetycji z łaciny, której nie uczyła się w Moskwie; miała też zaległości w języku polskim i musiała włożyć wiele wysiłku w pozbycie się rosyjskiego akcentu. Wysoko cenił ją nauczyciel fizyki, Witold Pogorzelski, późniejszy profesor matematyki na Politechnice Warszawskiej i członek PAN; znajomość ta okazała się istotna, gdy organizowano tajne komplety w czasie okupacji hitlerowskiej.

Po zdaniu matury wstąpiła na Politechnikę, jednak szybko zorientowała się, że nie podoba tym studiom finansowo. Zdecydowała się więc na tańsze studia w Państwowym Instytucie Dentystycznym. Gdy ukończyła je w lipcu 1925 r.,



prof. Alfred Meissner zaproponował jej, by została jego asystentką. Początkowo asystowała w jego prywatnym gabinecie, a od października 1926 pracowała u niego przez 6 lat w Klinice Chirurgii Stomatologicznej. Uważała zawsze Meissnera za swego mistrza i całe życie propagowała jego podejście do chirurgii szczękowej.

W 1927 r. poślubiła Tadeusza Semadeniego, sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie (potem wiceprokuratora Sądu Apelacyjnego), znanego działacza pływackiego, syna Władysława Semadeniego, pastora superintendenta Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce i Heleny z Haberkantów (córkę pastora Ewangelicko-Augsburskiego). Ponieważ dyplom wystawiony był na jej panięskie nazwisko, całe życie w oficjalnych dokumentach używała podwójnego: Semadeni-Konopacka, ówczesnym zwyczajem zaczynającego się od nazwiska męża; na co dzień używała nazwiska Semadeni. Rodzice Władysława Semadeniego przybyli ze Szwajcarii ok. roku 1835. Władysław i Tadeusz mieli obywatelstwo szwajcarskie do lat dwudziestych, kiedy to zmienili je na polskie.

Od 1928 roku Irena Semadeni pracowała dodatkowo jako stomatolog w Banku Polskim w Warszawie; praca ta była bardzo dobrze płatna, stanowiła najważniejszą część budżetu rodzinnego.

Ważną rolę w jej życiu odegrała praca w latach 1932-1935 w charakterze lekarza wolontariusza (tzn. bez płacy) w Klinice Położnictwa i Chorób Kobięcych Uniwersytetu Warszawskiego. W zachowanym, odręcznym piśmie datowanym 25.XI.1949 kierownik tej Kliniki, prof. Adam Czyżewicz stwierdza, że „prowadziła systematycznie specjalnie w Klinice urządzoną przychodnię dla osób ciężarnych, położnic i ginekologicznie chorych, a to w celu wykazania, czy najrozmaitsze zabiegi stomatologiczne mają jakiś wpływ na przebieg ciąży względnie na przebieg schorzeń narządu rodnej kobiety. Sprawa ta, podówczas jeszcze sporna, została na podstawie pracy D<sup>r</sup> Semadeni Konopackiej definitywnie rozwiązana. Ze swej strony mogę z przyjemnością zaznaczyć, że Pani D<sup>r</sup> Semadeni Konopacka odznacza się obok dużego zamiłowania do pracy w swoim zawodzie i obok niezmiernie pilności, nadzwyczaj ujmującym odnoszeniem się do chorych, wysokim taktem i serdecznym zajęciem się powierzonymi jej pacjentami.”

Do tych opublikowanych w 1937 r. wyników badań (które objęły 276 ciężarnych), Irena Semadeni wróci po wojnie, obalając defitywnie dość rozpowszechniony wcześniej pogląd, że w przypadku zaawansowanej ciąży nie należy u ciężarnej wykonywać żadnych krwawych zabiegów w obawie przed poronieniem. Wykazała m.in., że — przy prawidłowym zabiegu — poronienia można się nie obawiać, natomiast groźne jest pozostawienie nieusuniętego zęba, który rozsiewa zarazki; co więcej, stany zapalne jamy ustnej zaostrzają się w czasie porodu i bywają miejscem wyjścia zakażenia ogólnego.

Miała dwóch synów. Starszy, Allan Andrzej (zwany „Alik”, „Jędrak” lub „Bomba”), urodził się 17 kwietnia 1928; drugi, Zbigniew Władysław — 1 marca 1934. Tego drugiego porodu (cesarskie cięcie u prof. Czyżewicza) omal nie przypłaciła życiem.

Zbliżającą się wojnę z Niemcami oceniała bez iluzji, jak osoba, która przeszła w Rosji czasy rewolucyjne. Wiedziała, że potrzebne będą porządne buty i zapas jedzenia. Już w sierpniu 1939 r. porcelana została została solidnie zakupana w



piwnicy. Dzieci swe wywiozła daleko na Wołyń, do majątku Stawki, leżącego pomiędzy Lubonlem a Włodzimierzem Wołyńskim, będącego w posiadaniu krewnych jej matki, Zaleskich. Sama została zmobilizowana jako lekarz. Po 17 września jej oddział rozpadł się. Przedostała się do Stawek, zorganizowała tam parę kucyków (inne konie zarekwirowałoby wojsko) i piechotą wyruszyła w drogę do Warszawy (tylko 5-letni Zbyszek jechał na wozie). Pierwszy etap — to dojazd do Bindugi i nocleg u znajomych, Krzyżanowskich. Z Bindugi przeprawa przez Bug łodzią (a wóz z kucami — brodem) na drugą stronę do Dubienki; później podobna przeprawa przez Wieprz. Raz na szosie minął ich patrol Krasnej Armii i raz na noclegu byli rewidowani przez bolszewików, poza tym podróż przebiegała bez przygód. Po trzech tygodniach, 6 października 1939 r. dotarli do Warszawy.

Tadeusz, mąż Ireny, zgłosił na początku wojny na ochotnika do wojska (w stopniu szeregowca). Dostał się do niewoli sowieckiej, gdzie wiarygodnie udawał chłopca ze Stawek, potem udało mu się uciec i dotrzeć do Warszawy.

Przez całą okupację ciężar utrzymania rodziny spadał głównie na Irenę. Tadeusz pracował dorywczo, zajmował się dużo sprawami konspiracyjnymi, m.in. działał w Departamencie Sprawiedliwości Delegatury Rządu na Kraj. W grudniu 1943 r. przywiózł ze Lwowa do Warszawy Zofię Rapp po jej ucieczce z rąk Gestapo, co opisane zostało w książce S. Jankowskiego („Agatona”) *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*; była w ostatnich dniach ciąży i Tadeusz, czule do niej przytulony w pociągu, powtarzał jej stale „Zosiu, poczekaj, poczekaj, jeszcze nie rodź”. W marcu 1944 r. został wiceprezesem Rady Programowej Stronnictwa Pracy (jednego z czterech głównych stronnictw Polski Podziemnej — demokratycznego, antysanacyjnego, centrowo-chadeckiego ugrupowania politycznego utworzonego w 1937 r. pod wpływem Paderewskiego; do władz SP należał m.in. Jan Stanisław Jankowski, Delegat Rządu RP na Kraj).

Irena początkowo kontynuowała swą rozpoczęta jeszcze przed wojną prywatną praktykę w wynajmowanym gabinecie przy ul. Żurawiej 4. Okazało się to niepraktyczne, więc rodzina przeniosła się ze spółdzielczego mieszkania przy ul. Fałata 6 na Mokotowie do wynajętego mieszkania w Śródmieściu przy ul. Noakowskiego 20 m. 3, naprzeciwko Politechniki. Tam Irena założyła prywatny gabinet stomatologiczny, źródło utrzymania rodziny. Miała taki zwyczaj, że gdy pacjent pytał się, ile ma płacić, Irena podawała stawkę zależną od swej oceny jego stanu finansowego (w przypadku kobiety — przede wszystkim od jej pończoch); od niektórych osób nie brała nic. Gabinet był dobrym parawanem dla działań konspiracyjnych; chronił także przed wyłączeniami prądu. Oprócz Ireny Semadeni w gabinecie tym przyjmowała pacjentów Janina Krzyżanowska (wówczas „Maliszewska”, żona „Wilka”, komendanta AK w Wilnie, matka Olgi Krzyżanowskiej, późniejszego wicemarszałka Sejmu z 1989 r.). W mieszkaniu tym odbywało się też tajne nauczanie gimnazjum Batorego, na które uczęszczał Alik.

Lato 1941 r. Irena Semadeni spędza w Zakopanem wynajmując pokój od góralki Marii Karpielowej (z domu Krzeptowskiej) na Skibówkach. Wakacje te były przykrywką do głównego celu przyjazdu. Otóż jakiś czas wcześniej przedostał się z Węgier na nartach przez Tatry Janusz Rudnicki, taternik, wybitny działacz narciarski (wiceprezes PZN), przyjaciel Semadenich. W Zakopanem udał się do



swjej przedwojennej znajomej, nie wiedząc — jako przybysz — o jej współpracy z Niemcami. Zadenuncjowany, aresztowany w pociągu w Szaflarach, trzymany był w więzieniu w Nowym Targu. Jego żona, Katarzyna starała się wyciągnąć go stamtąd, wykorzystując znajomości Karpielowej na Podhalu. Nie udało się to. Rudnicki zginął później w Oświęcimiu.

Przez długi czas Irena Semadeni była „ciotką cichociemnych”. Oznaczało to, że w podanym przez kuriera z Londynu terminie miała póty przebywać w mieszkaniu, dopóki nie zgłosi się skoczek z Anglii. Hasłem było: „Przybywam ze Stawek”. Skoczek taki najpierw odsypiał jedną lub dwie doby, a potem jego „ciotka” miała przez ok. 2 tygodni wprowadzać go w codzienne życie wojennej Warszawy. Tylko niektórzy ze skoczków znali to miasto przed wojną, wszyscy jednak musieli się adaptować do zupełnie nowej sytuacji. Po takim okresie wstępnym przechodzili do wykonywania tego zadania, dla którego zostali zrzućeni. Irena podlegała komórce „Ewa” kierowanej przez „ciocię Antosię” (Michalinę Wieszeniewską). Przez mieszkanie przy ul. Noakowskiego przewinęło się trzynastu skoczków, m. in. „Dźul” (zrzućony do Polski 4 marca 1942 r.) i „Szary” (skok 16 września 1943 r.). Kilkadziesiąt lat później, nad grobem Ireny Semadeni-Konopackiej, jeden z cichociemnych, wspomniany już Stanisław Jankowski („Agaton”), podkreślając bohaterstwo „ciotek” zwrócił uwagę, że przyjmowały do siebie do domu zupełnie nieznaną im osobę i narażały nie tylko siebie, lecz także męża i dzieci, którzy w razie wykrycia skoczka przez Gestapo mogli być wszyscy wysłani do Oświęcimia.

Irena Semadeni nieraz opowiadała następującą historię docenta Henryka Becka, którego znała z kliniki prof. Czyżewicza. Był to Żyd, o typowo semickich rysach i sposobie wystawiania się. W czasie wojny Beck znalazł się we Lwowie. Opiekował się swym ojcem, który niezbyt dobrze orientował się w sytuacji. Po zajęcia Lwowa przez Niemców, nie chcąc, by ojciec musiał nosić gwiazdę Dawida i doznawać upokorzeń, położył go jako chorego w szpitalu, w którym pracował. Pewnego dnia do szpitala weszli SS-mani. Gdy Beck zorientował się, że szukają Żydów i ich zabierają, wstrzyknął ojcu przygotowaną uprzednio truciznę. Z tą chwilą uznał, że nie ma potrzeby dalej przebywać we Lwowie, i wyjechał do Warszawy. Zjawił się na Noakowskiego 20, prosząc o pomoc. O przechowywaniu go w mieszkaniu, przez które przewijało się wiele osób, nie było mowy. Irena Semadeni doczekała zapadnięcia zmroku, bowiem w dzień Beck był zbyt łatwy do rozpoznania na ulicy jako Żyd. Wsiadła z nim do zaciemnionego tramwaju, tak aby nikt go nie widział, i zawiozła na Grochów do swego krewnego, Stanisława Konopackiego (b. wojewody wołyńskiego). Następnego dnia jeden z przyjaciół powiadził jej w sekrecie najnowszą wiadomość: Beck jest w Warszawie, widziano go wczoraj wieczorem, jak jechał tramwajem na Dworzec Wschodni. Na Grochowie Beck przebywał jakiś czas, potem znaleziono mu lepszą kryjówkę: pokój bez okien w centrum Warszawy, trudny do zauważenia w czasie rewizji. Tam doczekał Powstania, gimnastykując się codziennie i starając zachować dobrą formę. W 1945 r. zaoferowano mu katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zmarł niestety wkrótce potem.

Na 1 sierpnia 1944 r. Irena Semadeni dostała przydział do szpitala ZUS (róg Czerniakowskiej, Książęcej i Rozbrat). Za pseudonim przyjęła imię swjej matki:



Konstancja. Po tygodniu Doktor Konstancja dostała rozkaz przejścia do małego filialnego szpitala zorganizowanego w tych dniach w prywatnych mieszkaniach przy ul. Okrąg 4<sup>a</sup>. Była tam jedynym stałym lekarzem. Do pomocy miała grupę sanitariuszek, głównie harcerzek, które przeszły konspiracyjne szkolenie.

Tadeusz Semadeni był w czasie powstania sędzią specjalnego sądu orzekającego o winie i karze osób kolaborujących przedtem z Niemcami. Ich syn, Allan Andrzej, 16-letni harcerz ze zgrupowania „Golskiego”, walczył w obronie Politechniki i awansował do obsługi karabinu maszynowego. Tadeusz zginął 19 sierpnia w czasie niemieckiego ataku na Politechnikę. W powstańczym nekrologu podano, że poszedł z butelką benzyny na czołg. Tegoż popołudnia trafiony został Alik. Otrzymał w brzuchu serię kul dum-dum z karabinu maszynowego; obok stał jego najbliższy przyjaciel Antek Mączak, późniejszy profesor historii na UW. Alika wzięto do szpitala przy ul. Lwowskiej, gdzie zmarł w czasie operacji (operował go dr Zbigniew S. Lewicki, przyjaciel Tadeusza z AZS i świadek na jego ślubie). Ciało Tadeusza Irena nigdy nie znalazła mimo długotrwałych, uporczywych poszukiwań po wojnie; wiedziała, że znając dobrze jego uzębienie, rozpozna nawet szczątki.

Okolo 21 sierpnia, dowiedziawszy się o śmierci męża i syna, Irena przyszła nocą do Śródmieścia i wzięła do swego szpitala na Czerniaków młodszego syna, 10-letniego Zbyszka. W sierpniu w tym rejonie ciężkich walk nie było. Szpital otrzymywał dwa razy dziennie świeżą prasę powstańczą, w niedzielę lżej ranni chodzili na mszę połową odprawianą przy gmachu komendy przy ul. Okrąg 2. Niemiecki atak na Czerniaków rozpoczął się w początku września. Po opanowaniu Starego Miasta głównym ich celem stało się odcięcie Polaków od Wisły, za którą, na Saskiej Kępie, od 14 września znajdowały się wojska radzieckie i polski 1. pułk piechoty. Była to ostatnia szansa dla Powstania, dlatego walki były wyjątkowo zacięte. Obszar, na którym działał szpital, podlegał dowódcy zgrupowania, kpt. „Krysce”.

Po zbombardowaniu budynku przy ul. Okrąg 4<sup>a</sup> szpital przeniesiono do piwnic przy Okrąg 2. Był to wielki, bardzo solidnie zbudowany budynek bankowców, który stał mocno pomimo wybuchu dwóch bomb, niezliczonej liczby pocisków, wybuchu „goliata” w narożniku od strony ul. Czerniakowskiej i pożaru wzniesionego w celach obronnych przez powstańców. W połowie września pierścień sił niemieckich zaciskał się. Doktor Konstancja operowała rannych niemal bez przerwy, dzień i noc. Wyciągała odłamki, szyla rany, amputowała kończyny. Przesypiała na stojąco chwile pomiędzy ukończeniem jednej operacji i zdjęciem rannego a położeniem na stole następnego. Od czasu zbombardowania budynku bardzo wszystkim dawał się we znaki pył; po każdym pocisku unosiły się tumany i trzeba było oddychać przez mokrą chustkę. Nigdy jednak nie zdarzyło się, by narzędzia nie były wygotowane do kolejnej operacji.

W ostatnich dniach niepodległego Czerniakowa szpital ewakuowano do piwnic niedalekiego domu przy ul. Wilanowskiej 18 (dziś ul. Gwardzistów). Nocą z 18 na 19 września żołnierze Radosława wycofywali się. Większość przeszła kanałami na Mokotów, niektórzy próbowali przepłynąć Wisłę. Część lżej rannych poszła z nimi. Doktor Konstancja nakazała sanitariuszkom opuszczenie szpitala i udanie się z wojskiem, sama zaś została z rannymi. Ostatni powstańcy opuścili budynek



o godz. 2 w nocy. O godz. 6 rano przyszli Niemcy. Nie wierzyli zapewnieniom, że to wszystko cywile (zresztą ludność cywilną z okolicznych domów rozstrzelano również, ciała ich leżały na podwórku między Okrąg 4<sup>a</sup> a Wilanowską 18). Domyślając się, co może nastąpić, Doktor Konstancja umieściła syna w jednej z pustych piwnic i zamknęła drzwi. Młody oficer SA wyciągnął białe rękawiczki i przystąpił do rozstrzelania rannych. Doktor Konstancji kazał sprawdzać, czy trafieni żyją. Rozstrzelał ok. 110 osób. 17 rannych przeżyło tę egzekucję; do niektórych piwnic Niemiec nie dotarł, pewnych rannych Doktor Konstancja zakryła poduszkami, niektórzy żyli mimo postrzału głowy. Po wyjściu tego oddziału i przyjsciu innego oficera SS (Austriaka) Doktor Konstancja zaczęła domagać się ewakuacji pozostałych rannych. Niektórych rzeczywiście wyniesiono na noszach (ale po wojnie mówiono jej, że ich też gdzieś rozstrzelano).

Siedmiu rannych nie zdążono ewakuować. Przeniesiono ich na Okrąg 2, gdzie zostali ulokowani nie w piwnicach, jak uprzednio, lecz luksusowo, na parterze. Przez dwa tygodnie samotna grupka ludzi żyła na opustoszałym Czerniakowie, ku zdumieniu przechodzących czasem patroli niemieckich. W dzielnicy tej w tym czasie nikt bez specjalnego pozwolenia nie miał prawa przebywać. Doktor Konstancja dokonała kilku wypraw chcąc się czegoś dowiedzieć i zdobyć jedzenie (m. in. raz doszła do ul. Czerwonego Krzyża). Każdy jej powrót wywoływał wzruszającą radość pozostawionych rannych.

W końcu nadeszła wiadomość o kapitulacji Powstania. Doktor Konstancja udała się do siedziby Gestapo w al. Szucha i tam wytargowała specjalną przepustkę upoważniającą ją do ewakuacji rannych z Czerniakowa. Syna Zbyszka (z którym przedtem nie rozstawiała się w ogóle) zostawiła na Lwowskiej, a sama poszła na plac Trzech Krzyży szukać silnych mężczyzn, którzy koniecznie chcieli się dostać do zamkniętej strefy Czerniakowa. Brała ich na swoją przepustkę pod warunkiem, że w drodze powrotnej wniosą jedne nosze Książęcą do góry. Całą siódmkę rannych udało się w ten sposób ewakuować i wszyscy dożyli szczęśliwie końca wojny. Jedną z rannych była druhna Ninka Bemówna (obecnie Dymecka), sanitariuszka ze szpitala na Okrąg, osierocona po śmierci ojca (oficera AK), którą Irena Semadeni opiekowała się później przez kilka miesięcy.

Przez kilka miesięcy po wojnie Irena Semadeni zwykła mawiać, że Powstanie — to najszczęśliwszy okres w jej życiu. Miała takie uczucie pomimo straty dwóch najbliższych osób i zagłady miasta. Aby to zrozumieć, trzeba wziąć pod uwagę m. in. fakt, że Powstanie pozwalało odreagować poprzednie 4 lata terroru i poniżenia.

Okazało się, że mieszkanie przy ul. Noakowskiego 20 nie jest spalone. Irena Semadeni wzięła do kieszeni parę kleszczy: jedno do usuwania zębów, drugie do korekty. Były to kleszcze opracowane przez prof. Meissnera, zastępujące dawniejsze duże i kosztowne zestawy. Wiedziała, że mając je przy sobie zawsze zarobi na życie, nawet bez gabinetu. Po zabranii tylu rzeczy, ile zdołali unieść (w tym fotografii rodzinnych), 6 października 1944 r. (w piątą rocznicę powrotu ze Stawek) poszli w trójkę (z Ninką i Zbyskiem) piechotą — jak wszyscy — do Dworca Zachodniego. Przepustka z Gestapo pozwoliła im uniknąć obozu w Pruszkowie. W czasie krótkiego pobytu u swych krewnych Duninów w Otrębusach, Irena Semadeni, która w czasie Powstania straciła ok. 15 kg na wadze, doszła do wniosku, że naj-



lepiej doczekać końca wojny gdzieś na wsi, gdzie będzie dość jedzenia i wszyscy się odkarmią. Całą wojnę dbała o zapewnienie rodzinie odpowiedniego, zdrowego pożywienia, wyznając filozofię, że z dwóch osób wziętych do obozu większe szanse przeżycia ma ta, która była lepiej przedtem odżywiana.

Wsi bez dentysty oczywiście w Polsce nie brakowało; pytanie było, w jakiej okolicy jest dobra gleba i zarazem zdrowy klimat. Wybór padł na wieś Brzuchania, 7 km od Miechowa, w okolicy pagórkowatej, znanej z lessowych gleb. Przybyli tam w czwórkę, razem z teściową, Heleną Semadeni. Irena Semadeni na fotelu fryzjerskim, kręcąc nożną wiertarką, przyjmowała pacjentów. Pod koniec pobytu w Brzuchani jeździła nawet do technika do Krakowa zamawiać korony. Warunki w Brzuchani były dość prymitywne (klepisko w chacie, noszenie wody z dalekiej studni, cała jesień błoto po kolana), ale jedzenia było w bród.

Irena namawiała Kasię Rudnicką, żonę wspomnianego wcześniej Janusza, by przeniosła się do nich na wieś z córką Anką (w rodzinie Anka uważana była za stałą dziewczynę Aliką). Kasia jednak wolała pobyt u znajomych w Krakowie. Decyzja ta okazała się fatalna w skutkach: Anka zachorowała na gruźlicę. Rok później, już w Gdańsku, Irenie śniło się, że przyszła do niej Anka mówiąc: „Będę wkrótce widziała Alikę. Co mam mu powiedzieć?”. Następnego ranka przyszedł telegram z wieścią o jej śmierci.

Po 17 stycznia 1945 r. Irena Semadeni udała się w drogę do Warszawy (częściowo pieszo, częściowo podwożona przez żołnierzy Armii Czerwonej). Dotarła do Radomia, gdzie dowiedziała się, że dom przy ul. Noakowskiego 20, podobnie jak wiele innych, został spalony po Powstaniu przez specjalne ekipy niemieckie. Wróciła więc do Brzuchani, skąd w marcu wszyscy stopniowo przenieśli się do Podkowy Leśnej koło Warszawy. Tam Irena Semadeni przyjmowała pacjentów w gabinecie Z. Marczewskiej-Iwanickiej. W lipcu zdecydowała, że do Warszawy nie wraca, i pojechała na zwiad do Gdańska.

Na jej dalsze decyzje duży wpływ miały dwie wspomniane wcześniej wizyty w Moskwie. Wielogodzinne rozmowy Ireny z ojcem umożliwiły jej poznanie realiów życia w kraju komunistycznym. W przedwojennej Polsce oczywiście znane były prześladowania, jakich ludzie doznawali od bolszewików, mało kto jednak wiedział, jak naprawdę się tam żyje, co jest ważne, a co nie. Opowiadała m.in. że w wielorodzinnym mieszkaniu, gdzie żył jej ojciec, idąc do toalety trzeba było brać ze sobą żarówkę i nie zapomnieć przynieść jej z powrotem. W ramach jednej z ogólnych, odgórnie nakazanych akcji, Wojciech Konopacki musiał zostawać po pracy w biurze i uczyć swych współpracowników tańców towarzyskich (wcześniej surowo zakazanych) i dobrych manier. Przewodniczka Inturistu z wielkim przekonaniem tłumaczyła, że budynek szkoły, tej do której chodziła Irena, został zbudowany po rewolucji. Tak więc dzięki tym dwóm wizytom w Moskwie Irena Semadeni mogła w 1945 r. trzeźwo ocenić sytuację. Stwierdziła, że możliwości prywatnej praktyki prędko się skończą, a godziwe życie może mieć ktoś związany z uczelnią.

Została adiunktem i kierownikiem Kliniki Stomatologicznej Akademii Lekarskiej w Gdańsku. Klinika zajmowała barak przy ul. Dębinki. Irena Semadeni pracowała również na pół etatu w szpitalu przy ul. Świerczewskiego, głównie po to, aby móc doglądać swoją nie wstającą już z łóżka teściową, dla której załatwiła



tam separatkę i stałą opiekę pielęgniarską. Trzy razy w tygodniu przyjmowała też pacjentów w swym prywatnym mieszkaniu przy ul. Batorego 4 m. 2 (na przemian ze wspomnianą już Janiną Krzyżanowską).

Irena Semadeni była świadoma, że dyplom stomatologa to za mało, aby awansować w hierarchii akademickiej. Pomimo ogromnego obciążenia pracą zawodową zdecydowała się ukończyć medycynę. Zaliczono jej trzy lata na poczet studiów stomatologicznych i w 1946 r. przyjęto na IV rok. Do lata 1948 r. zaliczyła wszystkie wymagane zajęcia V roku oraz rozpoczęła zdawanie 16 egzaminów dyplomowych.

We wrześniu 1948 r. Irena Semadeni odkryła u siebie guz na prawym sutku. Pobrano próbkę, wynik badania był: rak. Po paru dniach odbyła się wielogodzinna, radykalna operacja. W tym samym tygodniu, dnia 24.XI.1948 zmarła jej teściowa, Helena Semadeni; Irena nie brała już udziału w pogrzebie. Przez wiele dni po operacji stan chorej był bardzo ciężki: skrzepy, problemy z sercem; niektórzy sądzili, że już z tego nie wyjdzie. Gdy stan jej poprawił się, przez wiele tygodni przebywała w Instytucie Radowym w Warszawie na naświetlaniach.

Po powrocie do Gdańska zdała pozostałe egzaminy dyplomowe, a następnie ukończyła i obroniła swą pracę doktorską „Schorzenia jamy ustnej w okresie ciąży i porodu”. Promotorem był kierownik Kliniki Chorób Kobięcych i Położnictwa prof. Henryk Gromadzki (senior). Dnia 1 czerwca 1950 Rada Wydziału Lekarskiego AL w Gdańsku nadała jej stopień doktora medycyny. Prywatną praktykę zakończyła definitywnie wcześniej, z momentem operacji.

Jesienią dostała propozycję objęcia stanowiska zastępcy profesora i kierownika Katedry Chirurgii Stomatologicznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie („zastępca profesora” było stanowiskiem specyficznym dla owych czasów dotkliwego braku kadr; oznaczało pełnienie funkcji profesora bez posiadania wymaganych kwalifikacji). Irena Semadeni propozycję przyjęła i w listopadzie 1950 r. przybyła do Szczecina, przeniesiona służbowo przez Ministra Zdrowia.

Opuszczała Gdańsk bez żalu. Miała tam wielu oddanych przyjaciół (do najbliższych należeli: prof. Stanisław Wszelaki z żoną Janiną oraz dr Stanisław Pawłowski z żoną Wandą), była w bardzo dobrych stosunkach z rektorem W. Czarnockim i wieloma innymi osobami, ale doznała też niezawinionych przykrości. Należy wyraźnie zaznaczyć, że nie były to przykrości ze strony UB (choć stale czuła się zagrożona, bardziej zresztą ze względu na okupacyjną działalność swego męża niż swoją). Natomiast boleśnie odczuła intrygi pewnych popieranych przez partię stomatologów oraz nękanie Urzędu Skarbowego w Gdańsku, który (realizując politykę walki klasowej z wszelką prywatną działalnością) jeszcze w wiele lat po zlikwidowaniu przez nią prywatnej praktyki nasyłał jej do Szczecina komornika z powodu niezapłacenia jakichś dodatkowych domiarów, orzeczonych w parę lat po definitywnym zaprzestaniu przyjmowania pacjentów. Jej strach przed Urzędem Skarbowym był tak silny, że w Szczecinie nigdy nie wyrobiła sobie pieczętki lekarskiej, toteż nie mogła wystawiać recept i w razie potrzeby musiała zwracać się do któregoś z lekarzy w Klinikę.

Po Klinice Stomatologicznej w Gdańsku Irena Semadeni organizowała od podstaw drugą w Szczecinie. Początkowo Klinika Chirurgii Stomatologicznej była



dołączona do Kliniki Laryngologicznej (przy placu Unii Lubelskiej) i liczyła za- ledwie kilka łózek. Pracował tam tylko jeden lekarz (S. Żelaźnik). Aby zapewnić chorym należytą opiekę, przez pierwsze tygodnie Irena Semadeni nocowała w Klini- ce, pełniąc w ten sposób stały dyżur. W 1952 r. Klinika przeniosła się do obecnych pomieszczeń w Szpitalu Klinicznym II na Pomorzanach i rozwinęła się stopniowo do pełnej Kliniki o 40 łózkach, zapewniającej pomoc specjalistyczną chorym z trzech ówczesnych województw.

Po przeniesieniu do Szczecina głównym tematem badań Ireny Semadeni była promienica twarzowo-szyjna; uwieńczone to zostało opublikowaniem monografii na ten temat (1955). Praca ta była brana pod uwagę przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną, gdy w tymże roku nadano jej tytuł docenta. W lipcu 1955 r. Minister Zdrowia powołał ją na stanowisko samodzielnego pracownika nauki.

Następnym większym dziełem, któremu poświęciła wiele pracy, była „Trauma- tologia szczękowa” (1963), pierwsza książka z tej dziedziny w Polsce. Maszynopis jej był istotnym argumentem dla CKK przy nadawaniu Irenie Semadeni tytułu profesora nadzwyczajnego; 22.IX.1961 Przewodniczący Rady Państwa powołał ją na to stanowisko.

Obok rozlicznych spraw organizacyjnych główną Jej troską było przygotowanie personelu lekarskiego, który mógłby podjąć pracę w Klinice. Powoli rosła obsada Kliniki, w której najliczniejszą grupę stanowią absolwenci pierwszego rocznika stomatologii PAM z roku 1953. W przedmowie do „Traumatologii Szczękowej” Irena Semadeni dziękuje za współpracę następującym swoim współpracownikom: Kazimiera Budzińska-Michałkiewicz, Gertruda Chrzanowska, Janina Grudzińska, Regina Kantorek, Krystyna Lemm, Stanisław Łazarski, Jerzy Malinowski, Jad- wiga Mazurkiewicz, Krystyna Mojseowicz, Krystyna Sońta i Barbara Wronowska. Była promotorem w 10 ukończonych przewodach doktorskich, w tym Jerzego Mali- nowskiego, obecnie profesora w PAM w Szczecinie. Doktoryzował się u niej również Józef Kraszewski z Wojskowego Szpitala Garnizonowego w Szczecinie, późniejszy profesor Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej w Warszawie.

Poza kierowaniem Kliniką Chirurgii Stomatologicznej, Irena Semadeni pełniła w Szczecinie wiele różnych funkcji, wymienionych tu w kolejności chronologicznej: Pełnomocnik ministra do spraw stypendiów dla studentów Oddziału Stomatolo- gicznego (od marca 1952 r.), Kierownik Przychodni Chirurgii Stomatologicznej w Przyszpitalnej Przychodni Specjalistycznej (od czerwca 1952 r.), Konsultant Wojewódzki (od 1953 r.), Kierownik Oddziału Stomatologicznego (od sierpnia 1959 r.), członek Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej przy Prezydium WRN (od grudnia 1965 r.). Brała udział w nakazanej tej Komisji przez Ministerstwo weryfikacji dyplomów wszystkich bez wyjątku lekarzy woj. szczecińskiego (aby nikt nie czuł się urażony, jako pierwszy weryfikowany był dyplom rektora Akademii Me- dycznej; w wyniku żmudnej pracy Komisji znaleziono jeden dyplom sfalszowany i mnóstwo uchybień formalnych). Była recenzentem w 4 przewodach habilitacyjnych poza Szczecinem i licznych doktorskich.

Irena Semadeni miała organizm wyjątkowo silny i wytrzymały; do końca życia miała wszystkie zęby bez plomb. Jednocześnie przez długie lata trapiły ją prze-



różne choroby. Osiem razy w życiu była operowana pod narkozą. Ok. roku 1942 przeszła dwa poważne ataki *angina pectoris*. O operacji gdańskiej była już mowa. W czasach szczecińskich serce dokuczało jej stale i była pewna, że nie dożyje emerytury. W drugiej połowie lat 60-tych powoli zaczęła się rozwijać u niej cukrzyca, która przez lata miała później podkopywać jej zdrowie. W tym samym czasie — również powoli i początkowo niezauważalnie — zanikać zaczęły nerwy w prawej ręce. Lekarze nie potrafili definitywnie ustalić przyczyn tego zanikania; wskazywali na wycięcie węzłów chłonnych 20 lat wcześniej i na naświetlania rentgenowskie, ale podejrzewano też cukrzycę. Dla Ireny Semadeni, chirurga, stopniowo malejąca sprawność prawej ręki była potężnym ciosem. Nie chciała zaakceptować tego faktu; próbowała ukrywać to, co wszyscy widzieli. W latach 70-tych miała trudności nawet ze złożeniem tą ręką podpisu. Nauczyła się dobrze pisać lewą ręką.

Zimą 1968/1969 przeszła ciężkie zapalenie płuc i stan jej zdrowia znacznie się pogorszył. Miała wtedy 68 lat. /Przyjęła z ulgą propozycję rektora PAM Adama Krechowickiego zwolnienia ze wszystkich zajęć dydaktycznych i organizacyjnych. Było to *de facto* przejście na emeryturę, jednak z zachowaniem przez jeszcze 2 lata pełnych poborów. Przeprowadziła się do Warszawy, do tego samego mieszkania spółdzielczego, w którym spędziła pogodne lata 1930–1939.

Kilkoro jej uczniów miało w tym czasie stopień doktora, nikt jednak się jeszcze nie habilitował. Kierownictwo Kliniki przejął adiunkt, jej były uczeń, dr Sylwester Kowalik. Ukończywszy studia stomatologiczne w 1954 r. został on asystentem w Klinice Chirurgii Stomatologicznej. Dostał od Ireny Semadeni pozwolenie jednoczesnego studiowania medycyny (takie poszerzenie wykształcenia leżało w długofalowym interesie Kliniki, bieżąco obciążało jednak innych pracowników). W latach 1957–1965 pracował on w Klinice Laryngologicznej u prof. J. Taniewskiego, po czym wrócił do Kliniki Chirurgii Stomatologicznej. W roku 1967 opuścił Klinikę i objął stanowisko ordynatora oddziału laryngologicznego w Brzegu nad Odrą, skąd powrócił w roku 1969 (później przez dwie kadencje był I sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR przy Akademii Medycznej w Szczecinie).

Zbigniew Semadeni zdał maturę w 1951 r. w Gdańsku i został przyjęty na fizykę na Uniwersytecie w Poznaniu. Został pracownikiem naukowym, najpierw w Katedrze Matematyki UAM, później w Instytucie Matematycznym PAN. W 1967 r. przeniósł się do Warszawy. Do Szczecina przyjeżdżał często, ale nigdy tam nie mieszkał. Irena Semadeni czuła się dość samotnie. Miała niewątpliwie powołanie do wychowywania chłopców. Przybył do niej do Szczecina najpierw Wojtek Rodowicz, sierota (bratanek Jana Rodowicza, legendarnego „Anody” z „Kamieni na szaniec”), a kilka lat później Jaś Klimaszewski (wnuk Jana Konopackiego, kuzyna Ireny). Obaj uczyli się w Szczecinie przez całą szkołę średnią, zdali maturę i wyjechali studiować dalej.

Irena Semadeni traktowała Szczecin z wielką sympatią. Należała do grupy pionierów tego miasta, przybyła w czasach, gdy były tam jeszcze zgłiszczka, a sytuacja niepewna. Czuła się w Szczecinie dobrze, była doceniana przez władze lekarskie i polityczne (m. in. gdy ok. 1966 r. poczuła się zagrożona od strony partyjnej przez pewnego wpływowego członka PZPR, kierownictwo Akademii Medycznej stanęło po jej stronie). Była dumna ze Złotego Gryfa, nadanego jej przez



władze miasta (1958), a także cenila bardzo odznakę „Za wzorową pracę w służbie zdrowia” (1953).

Kontakty towarzyskie utrzymywała niemal wyłącznie w sferach lekarskich. Do najbliższych jej przyjaciół należeli: Lackorzyńscy i Drescherowie. Miała też doskonale stosunki z Górnickimi i Murczyńskimi. Wszyscy byli zresztą sąsiadami, mieszkali w rejonie ulic: Wojska Polskiego, Zalewskiego, Przybyszewskiego i Traugutta. Z Murczyńskimi jeździła przez wiele lat codziennie o godz. 8 rano samochodem rektora na Pomorzany. Bardzo wysoko cenila chirurga prof. T. Sokolowskiego.

Od polityki i partii trzymała się całe życie z daleka. Była wierzącą katoliczką i gorącą zwolenniczką marszałka Piłsudskiego.

Formalnie Irena Semadeni przeszła na emeryturę dnia 30.IX.1971 r. Z tej okazji przyznano jej Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Później otrzymała m.in. członkostwo honorowe Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego oraz tytuł honorowy „Zasłużony Lekarz PRL”. Wielkim szacunkiem darzyli ją weterani zgrupowania kpt. „Kryski”, a także cichociemni. W latach 80-tych przekazano jej z Londynu Krzyż Walecznych, nadany jej przez polskie władze emigracyjne dnia 4.IX.1949.

Całe życie cechowała ją niespożyta energia i wielka siła woli. Potrafiła pogodzić obowiązki z intensywną działalnością zawodową. Przed wojną, gdy było trzeba, pełniła w towarzystwie funkcję żony sędziego Semadeniego, której nie wypadało przyznać się w pewnych kręgach do faktu, że pracuje zawodowo (a tym bardziej do tego, że zarabia więcej niż mąż). Była przy tym bardzo kochającą żoną i czułą matką. Otrzymała nienagane wychowanie, miała świadomość dziedzictwa kultury starego rodu szlacheckiego i czuła się swobodnie w salonach; wiedziała też dobrze, co to bieda, głód i ciężka harówka.

Potrafiła zdobyć się na taki wysiłek, do jakiego zdolni są tylko nieliczni: i wtedy, gdy jako 19-letnia maturzystka musiała — oprócz normalnego uczęszczania do szkoły — żyć z dawania korepetycji i sama brać korepetycje, i jako Doktor Konstancja na Czerniakowie, czy wreszcie w Gdańsku, gdy mając dom, pracę na półtora etatu i prywatną praktykę, znalazła dość sił na ukończenie studiów medycznych i zrobienie doktoratu. Stanowczo i energicznie wymuszała posłuch i działanie tam, gdzie to uważała za konieczne. Jednak w latach 60-tych jej ocena podległych jej lekarzy budziła pewne kontrowersje.

W dzieciństwie miała dużą, rozgałęzioną rodzinę, wiele ciotek, kuzynów itp. Pod koniec jej życia, w wyniku wojen, prześladowań, przypadków losowych i emigracji nie pozostał w kraju, poza synem i trzema wnuczkami, prawie nikt.

Całe życie lubiła podróże. Wspominała swe przedwojenne wyjazdy z mężem, m.in. gdy towarzyszyli polskim ekipom pływackim. Chodziła po górach, w 1957 r. zdobyła brązową Górską Odznakę Turystyczną. Będąc na emeryturze odbyła wiele egzotycznych podróży (jako członek zorganizowanej grupy lub sama statkiem towarowym). Między innymi wybrała się statkiem na trzy miesiące do Afryki, a także innym razem na kilka tygodni na Morze Śródziemne (w trakcie tego rejsu miała niespodziewaną okazję zwiedzić Albanie). Zdarzyło się, że kapitan jednego ze statków towarowych początkowo nie chciał wziąć na pokład 80-letniej

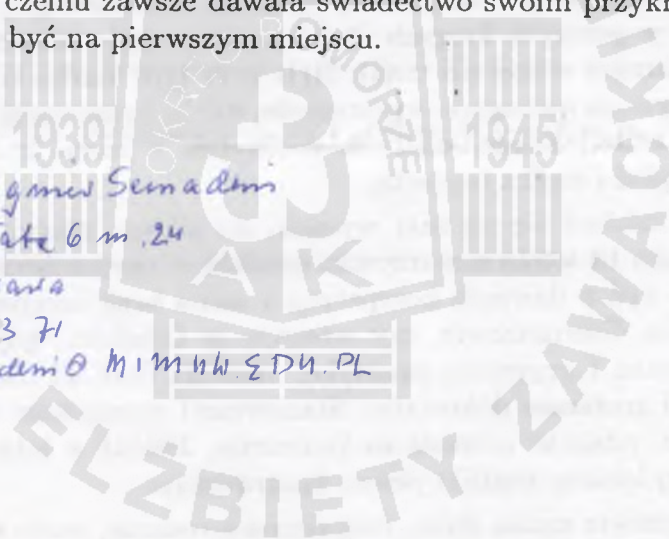


turystki, przyznał jednak później, że najlepiej ze wszystkich zniósła sztorm na Biskajach.

Do końca życia pomimo niesprawnej ręki, a później też słabnącego wzroku, cukrzycy i nadciśnienia, pozostała aktywna, niezależna, dążąca do dominacji. Była członkiem zarządu spółdzielni mieszkaniowej, w której mieszkała, i działaczem ogródków działkowych. Uprawiała ogródek już wcześniej w Szczecinie; w Warszawie poświęcała temu wiele czasu i to niewątpliwie wpłynęło dodatnio na jej zdrowie. Dożyła szczęśliwie wyboru Polaka na papieża, a potem chwili, gdy jej prawnuczka urodziła się w Klinice na Starynkiewicza, tej samej, gdzie ongiś ona sama była wolontariuszem u prof. Czyżewicza. Przez całe życie lubiła książki; w ostatnim roku życia nauczyła się obsługiwać magnetofon i wypożyczała z Instytutu Niewidomych kasety z nagranych utworami literackimi, których słuchała, gdy czytać już nie była w stanie.

W marcu 1984 r. udar mózgowy spowodował paraliż lewej strony. Po kilku tygodniach pobytu w Szpitalu Czerniakowskim zmarła 8 kwietnia 1984 r., w wieku niemal 83 lat, w 15 lat po opuszczeniu Szczecina. Pochowana została obok innych członków swej rodziny na Cmentarzu Ewangelicko-Reformowanym w Warszawie przy ul. Żytniej. Na pogrzebie Pomorską Akademię Medyczną reprezentował świeżo wybrany jej rektor, prof. Sylwester Kowalik, następca Ireny Semadeni w Klinice Chirurgii Stomatologicznej. W bardzo ciepłych słowach wspomniął to, czego całe życie uczyła innych, czemu zawsze dawała świadectwo swoim przykładem: dobro chorego musi zawsze być na pierwszym miejscu.

opracował Zbigniew Semadeni  
adres: ul. Fałata 6 m. 24  
02-534 Warszawa  
tel. dom. 49 03 71  
e-mail Semadeni@MIM.HH.EDU.PL



## II Materiały uzupełniające relację

- Matgorzata Śikorska, biogram Jreny Śumaderni, kopia, k. 2 s. 1-4;  
Legz. kopia k. 2 s. 5-8
- Ewa Konopacka, Kronika Rodu Konopackich, Ottawa 1984r., kopia,  
k. 4 s. 9-12





Pracekowie Jedyni Podryż... III 2006 r.  
T. 647.

FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej i Wojskowej Służby Polek"  
w Toruniu  
Wpłynęło dnia: 10. 08. 07  
1589/  
W31-512/07

**Irena Semadeni – Konopacka ps. "dr. Konstancja"**

Urodziła się 5 maja 1901r. w Hołuzji, pow. Sarny [płn. Wołyń], na granicy Polesia. Córka Wojciecha Antoniego Konopackiego i Konstancji z Zaleskich. W 1905r. na skutek niespłaconej przez W.A. Konopackiego pożyczki zaciągniętej w banku w Dorpacie, [spłatę uniemożliwił wybuch rewolucji w 1905r.] i licytacji majątku należącego do rodziny Konopackich od 1736r., Irena wraz z rodzicami przenosi się do Konotopu, miasta leżącego ok. 200 km. na wschód od Kijowa. Tam ojciec Ireny pracuje na kolei. Do 1917 r. rodzina zamieszkuje w Konotopie, Irena zaś uczy się w Moskwie w gimnazjum dla dziewcząt katoliczek, gdzie przez pierwsze 3 dni w tygodniu wszystkie lekcje odbywały się w języku rosyjskim, a przez kolejne 3 dni w języku francuskim. 27 kwietnia 1917 r. umiera matka Ireny. Po jej śmierci Wojciech Konopacki zamieszkuje z córką w Moskwie.

Po rewolucji październikowej podejmuje starania o zezwolenie na powrót do Polski. Zgodę uzyskuje tylko Irena, on sam jako inżynier zostaje w Moskwie. W 1919 r. Irena wyjeżdża do Warszawy, gdzie przez rok uczy się w klasie maturalnej w prywatnym gimnazjum H. Gapnerówny. W tym czasie mieszka na Powiślu przy ul. Elektrycznej a utrzymuje się z udzielanych korepetycji z matematyki. Zresztą sama również musiała pobierać korepetycje z języka łacińskiego, którego nie uczyła się w Moskwie. Dodatkowo musiała włożyć wiele wysiłku by pozbyć się rosyjskiego akcentu w wymowie.

Zakres znajomości matematyki posiadany przez Irenę wysoko ocenił Witold Pogorzelski, późniejszy profesor matematyki w Politechnice Warszawskiej i członek PAN. Po zdaniu matury rozpoczyna Irena studia na Politechnice Warszawskiej ale szybko orientuje się, że nie podoła im finansowo. Decyduje się więc na tańsze studia w Państwowym Instytucie Dentystycznym, które kończy w 1925 r. Otrzymuje od profesora Alfreda Meissnera propozycję asystentury, którą przyjmuje. Początkowo asystuje profesorowi w jego prywatnej klinice, a od października 1926 r. pracuje przez okres 6 lat w Klinice Chirurgii Stomatologicznej.

W 1927 r. wychodzi za mąż za Tadeusza Semadeniego sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie, późniejszego wice prokuratora Sądu Apelacyjnego. Po ślubie, od 1928 r. pracowała Irena dodatkowo jako stomatolog w Banku Polskim w Warszawie. W latach 1932 – 1935 pracowała także jako lekarz wolontariusz w Klinice Położnictwa i Chorób Kobietych Uniwersytetu Warszawskiego.

17 kwietnia 1928 r. rodzi się pierwszy syn Ireny i Tadeusza - Allan Andrzej, zaś 1 marca 1934 r. rodzi się drugi syn – Zbigniew Władysław.

Zbliżającą się wojnę oceniała bez zbędnych iluzji jako osobę, której dane było przeżyć czasy rewolucji w Rosji. Zmobilizowana została jako lekarz tuż przed 1 września 1939 r. Po 17 września jej oddział rozpadł się. Tadeusz Semadeni zgłosił się do wojska na ochotnika, dostał się do niewoli sowieckiej, z której udało mu się szczęśliwie zbiec. Po dotarciu do Warszawy z braku stałego



zatrudnienia miał się różnych prac dorywczych. W tej sytuacji na Irenę spadł ciężar utrzymania rodziny. Kontynuowała rozpoczętą przed wojną prywatną praktykę w wynajętym gabinecie przy ul. Żurawiej 4, mieszkając cały czas na Mokotowie przy ul. Fałata. Kiedy okazało się to niepraktyczne wraz z mężem i synami przeniosła się do nowego mieszkania przy ul. Noakowskiego 25 gdzie otworzyła prywatny gabinet. Stanowił on znakomitą przykrywkę dla działalności konspiracyjnej. Była Irena „ciotką cichociemnych”. Podlegała komórce „Ewa” kierowanej przez Michalinę Wiśniewską „ciocię Antosię”. Na hasło: „przybywam ze Stawek” miała obowiązek tak długo czekać w mieszkaniu dopóki nie zgłosił się skoczek z Anglii. Przez mieszkanie na Noakowskiego przewinęło się 13 skoczków. Każdemu z nich Irena zapewniała odpoczynek i 2 tygodniowy „kurs wchodzenia w codzienne życie okupowanej Warszawy”. Był to bardzo ważny element konspiracyjnej działalności Ireny, gdyż tylko niektórzy ze skoczków znali miasto przed wojną. Po takim kursie każdy z nich rozpoczynał realizację zadania dla którego został zrzucony.

Oprócz Ireny w gabinecie przyjmowała pacjentów także Janina Krzyżanowska żona „Wilka” - komendanta AK w Wilnie, matka Olgi Krzyżanowskiej.

W działaniach konspiracyjnych czynnie uczestniczył również mąż Ireny. Działał w Departamencie Sprawiedliwości Delegatury Rządu na Kraj. W marcu 1944 r. został vice prezesem Rady Programowej Stronnictwa Pracy. W czasie Powstania pełnił funkcję sędziego specjalnego sądu orzekającego o winie i karze kolaborujących z Niemcami.

Również starszy syn Allan Andrzej ps. „Alik”, „Jędrak”, „Bomba”, harcerz ze zgrupowania „Golskiego” czynnie uczestniczył w walkach , powstańczych. Walczył w obronie Politechniki i awansował do obsługi karabinu maszynowego. Na 1 sierpnia 1944 r. otrzymała Irena przydział do szpitala ZUS mieszczącego się u zbiegu ulic Czerniakowskiej, Książęcej i Rozbrat. Jej konspiracyjnym pseudonimem stało się imię jej matki i odtąd działała jako „Dr Konstancja”.

Po tygodniu „Dr Konstancja” otrzymała rozkaz przejścia do szpitala zorganizowanego przy ul. Okrąg 4a. Była tam jedynym stałym lekarzem, mając do pomocy grupę sanitariuszek harcerek.

19 sierpnia 1944 r. obaj – ojciec i syn zginęli w czasie niemieckiego ataku na Politechnikę. O śmierci męża i syna „Dr Konstancja” dowiedziała się 21 sierpnia, tej samej nocy poszła do Śródmieścia i zabrała przebywającego tam młodszego syna Zbyszka do swojego szpitala na Czerniaków. W tym rejonie w sierpniu nie było jeszcze ciężkich walk. Do szpitala docierała 2 razy dziennie prasa powstańcza, a w każdą niedzielę lżej ranni mogli chodzić na mszę polową do gmachu komendy przy ul. Okrąg 2.

Atak na Czerniaków rozpoczęli Niemcy w początkach września. Walki były bardzo zacięte. Niemcy dążyli do odcięcia Polaków od Wisły i uniemożliwienia przedostania się na jej prawy brzeg gdzie stacjonowały oddziały wojsk radzieckich i polskich. W wyniku ciągłych walk zniszczeniu uległ szpital przy ul. Okrąg 4a, rannych ewakuowano więc do piwnic budynku przy Okrąg 2, „Dr



Konstancja” ani na chwilę nie opuściła swoich podopiecznych. W połowie września na skutek coraz większego naporu nieprzyjaciela szpital ewakuowano ponownie. Tym razem były to piwnice budynku przy ul. Wilanowskiej 18. Nocą z 18 na 19 września żołnierze „Radosława” wycofali się kanałami na Mokotów. Część rannych poszła z nimi. „Dr Konstancja” nakazała sanitariuszkom opuszczenie szpitala a sama zaś pozostała z najciężej rannymi, wraz z nią pozostał syn Zbyszek. O godz. 6 weszli Niemcy, nie wierzyli, że ranni to cywile. „Dr Konstancja” przeczuwając co może się wydarzyć ukryła Zbyszka w jednej z pustych piwnic i wróciła do rannych. Na jej oczach oficer S.A. zastrzelił 110 rannych, każąc jej sprawdzać czy żyją. Tylko 17 osób przeżyło egzekucję, niektórych „Dr Konstancja” ukryła pod poduszkami, do innych oprawcy nie dotarli, nielicznym mimo ran postrzałowych głowy przeżyli. Po przybyciu oficera SS „Dr Konstancja” kategorycznie zażądała ewakuacji ocalonych rannych. Zdołano uratować tylko 9 rannych, siedmiu pozostało na Wilanowskiej. Uratowanych przeniesiono na Okrąg 2 gdzie stworzono im w miarę znośniejsze warunki. Przez dwa tygodnie „Dr Konstancja” razem z grupką rannych żyła na opustoszałym Czerniakowie, zdobywając dla nich żywność i próbując zdobyć jakieś informacje o ogólnej sytuacji w walczącej Warszawie. Po kapitulacji wojsk powstańczych „Dr Konstancja” przedostała się do siedziby Gestapo w Alei Szucha i zdobyła przepustkę upoważniającą do ewakuacji rannych z Czerniakowa. Po szczęśliwie zakończonej akcji ewakuacyjnej, Irena z mieszkania przy Noakowskiego zabrała parę kleszczy do usuwania zębów, trochę niezbędnych rzeczy, ocalałe fotografie najbliższych i razem ze Zbyszkiem i jedną z sanitariuszek [Ninką Bemówną – córką oficera AK] poszli do Dworca Zachodniego. Przepustka z Gestapo pozwoliła im uniknąć obozu przejściowego w Pruszkowie. Kilka dni przebywała w Otrębusach, a potem do 17 stycznia 1945 r. mieszkała we wsi Brzuchania 7 km. od Miechowa gdzie leczyła miejscową ludność. Po 17 stycznia podjęła decyzję o powrocie do Warszawy. W Radomiu dowiedziała się, że dom przy Noakowskiego spłonął. Wróciła więc do Brzuchani, skąd w marcu 1945 r. przeniosła się do Podkowy Leśnej k / Warszawy. W lipcu 1945 r. zdecydowała się nie wracać do Warszawy i pojechała na rekonesans do Gdańska. Tam podjęła pracę w Klinice Stomatologicznej Akademii Lekarskiej W Gdańsku, której była adiunktem i zarazem kierownikiem. Pracowała również na ½ etatu w szpitalu oraz przyjmowała prywatnie w gabinecie przy ul. Batorego na przemian ze wspomnianą Janina Krzyżanowską. Postanowiła ukończyć studia medyczne, gdyż była świadoma, że dyplom stomatologa to za mało by awansować w hierarchii akademickiej. Zaliczono jej 3 lata na poczet studiów stomatologicznych i w 1946 roku przyjęta została na IV rok medycyny. Do lata 1948 roku zaliczyła wszystkie wymagane przedmioty na V roku i rozpoczęła zdawanie 16 egzaminów dyplomowych. Poważna choroba na pewien czas uniemożliwiła Irenie kontynuowania nauki. Po jej przezwyciężeniu zdała pozostałe egzaminy i obroniła pracę doktorską. 1 czerwca 1950 roku otrzymała



stopień doktora medycyny. Jesienią otrzymała propozycję objęcia stanowiska zastępcy profesora i kierownika Katedry Chirurgii Stomatologicznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Wyraziła zgodę i od listopada 1950 roku rozpoczęła od podstaw organizować Klinikę pracując jednocześnie naukowo co zaowocowało tytułem docenta nadanym jej w 1955 roku oraz stanowiskiem samodzielnego pracownika nauki. Kontynuacja badań naukowych i licznych publikacji zaowocowały tytułem profesora nadzwyczajnego nadanym jej w dniu 22 września 1961 roku.

Obok rozlicznych praw organizacyjnych związanych z kliniką, uczestniczyła w przygotowaniu kadry lekarskiej. Była promotorem w 10 ukończonych przewodach doktorskich, recenzowała 4 przewody habilitacyjne i liczne doktorskie. Pełniła rozliczne funkcje związane ze służbą zdrowia: Pełnomocnika ministra ds. stypendiów dla studentów Oddziału Stomatologicznego; Kierownika Przychodni Chirurgii Stomatologicznej w Przychodni Przychodni Specjalistycznej; Konsultanta Wojewódzkiego; Kierownika Oddziału Stomatologicznego; członka Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej przy Prez. Woj. Rady Narodowej.

Była doceniana przez władze lekarskie i polityczne Szczecina. W 1958 roku władze miasta nadały jej Złotego Gryfa, w 1971 roku przyznano jej Krzyż Kawalerski OOP, była honorowym członkiem Polskiego Tow. Stomatologicznego, otrzymała honorowy tytuł Zasłużonego Lekarza PRL.

W 1969 roku po rezygnacji z zajęć dydaktycznych i organizacyjnych w PAM wróciła do Warszawy i ponownie zamieszkała w domu przy ul. Fałata, w którym mieszkała w latach 1930-1939. Od polityki i partii trzymała się z daleka, była katoliczką i zwolenniczką Piłsudskiego.

Wielkim szacunkiem darzyli ją żołnierze zgrupowania kpt. „Kryski” oraz „cichociemni”. W latach 80-ych przykazano jej z Londynu K.W. nadany jej przez polskie władze emigracyjne w dniu 4 września 1949 roku.

Całe życie cechowała ją niespożyta energia i wielka siła woli. Do końca życia była aktywna i niezależna.

Zmarła 8 kwietnia 1984 roku w wieku 83 lat. Pochowana została na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie. Jej uczeń prof. Sylwester Kowalik żegnając ją wspominał to, czego całe życie uczyła innych, czemu zawsze dawała świadectwo swoim przykładem: „dobro chorego musi zawsze być na pierwszym miejscu”.

[na podstawie wspomnień o matce – syna „Dr Konstancji” Zbigniewa Semadeniego] opracowała mgr Halgorzata Sikorska kierownik Sekcji Iconografii Archiwum Państwowego m. st. Warszawy.



115

**FUNDACJA**  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polak"  
w Toruniu

Wolny dzień: 13 09 02

1610/1050-512/02

### Irena Semadeni – Konopacka ps. "dr. Konstancja"

Urodziła się 5 maja 1901 r. w Hołuzji, pow. Sarny [płn. Wołyń], na granicy Polesia. Córka Wojciecha Antoniego Konopackiego i Konstancji z Zaleskich. W 1905 r. na skutek niespłaconej przez W.A. Konopackiego pożyczki zaciągniętej<sup>4f</sup> banku w Dorpacie, [spłatę uniemożliwił wybuch rewolucji w 1905 r.] i licytacji majątku należącego do rodziny Konopackich od 1736 r., Irena wraz z rodzicami przenosi się do Konotopu, miasta leżącego ok. 200 km. na wschód od Kijowa. Tam ojciec Ireny pracuje na kolei. Do 1917 r. rodzina zamieszkuje w Konotopie, Irena zaś uczy się w Moskwie w gimnazjum dla dziewcząt katoliczek, gdzie przez pierwsze 3 dni w tygodniu wszystkie lekcje odbywały się w języku rosyjskim, a przez kolejne 3 dni w języku francuskim. 27 kwietnia 1917 r. umiera matka Ireny. Po jej śmierci Wojciech Konopacki zamieszkuje z córką w Moskwie.

Po rewolucji październikowej podejmuje starania o zezwolenie na powrót do Polski. Zgodę uzyskuje tylko Irena, on sam jako inżynier zostaje w Moskwie. W 1919 r. Irena wyjeżdża do Warszawy, gdzie przez rok uczy się w klasie maturalnej w prywatnym gimnazjum H. Gapnerówny. W tym czasie mieszka na Powiślu przy ul. Elektrycznej a utrzymuje się z udzielanych korepetycji z matematyki. Zresztą sama również musiała pobierać korepetycje z języka łacińskiego, którego nie uczyła się w Moskwie. Dodatkowo musiała włożyć wiele wysiłku by pozbyć się rosyjskiego akcentu w wymowie.

Zakres znajomości matematyki posiadany przez Irenę wysoko ocenił Witold Pogorzelski, późniejszy profesor matematyki w Politechnice Warszawskiej i członek PAN. Po zdaniu matury rozpoczyna Irena studia na Politechnice Warszawskiej ale szybko orientuje się, że nie podoła im finansowo. Decyduje się więc na tańsze studia w Państwowym Instytucie Dentystycznym, które kończy w 1925 r. Otrzymuje od profesora Alfreda Meissnera propozycję asystentury, którą przyjmuje. Początkowo asystuje profesorowi w jego prywatnej klinice, a od października 1926 r. pracuje przez okres 6 lat w Klinice Chirurgii Stomatologicznej.

W 1927 r. wychodzi za mąż za Tadeusza Semadeniego sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie, późniejszego wice prokuratora Sądu Apelacyjnego. Po ślubie, od 1928 r. pracowała Irena dodatkowo jako stomatolog w Banku Polskim w Warszawie. W latach 1932 – 1935 pracowała także jako lekarz wolontariusz w Klinice Położnictwa i Chorób Kobietych Uniwersytetu Warszawskiego.

17 kwietnia 1928 r. rodzi się pierwszy syn Ireny i Tadeusza - Allan Andrzej, zaś 1 marca 1934 r. rodzi się drugi syn – Zbigniew Władysław.

Zbliżającą się wojnę oceniała bez zbędnych iluzji jako osobę, której dane było przeżyć czasy rewolucji w Rosji. Zmobilizowana została jako lekarz tuż przed 1 września 1939 r. Po 17 września jej oddział rozpadł się. Tadeusz Semadeni zgłosił się do wojska na ochotnika, dostał się do niewoli sowieckiej, z której udało mu się szczęśliwie<sup>e</sup> zbiec. Po dotarciu do Warszawy z braku stałego



zatrudnienia miał się różnych prac dorywczych. W tej sytuacji na Irenę spadł ciężar utrzymania rodziny. Kontynuowała rozpoczętą przed wojną prywatną praktykę w wynajętym gabinecie przy ul. Żurawiej 4, mieszkając cały czas na Mokotowie przy ul. Fałata. Kiedy okazało się to niepraktyczne wraz z mężem i synami przeniosła się do nowego mieszkania przy ul. Noakowskiego 25 gdzie otworzyła prywatny gabinet. Stanowił on znakomitą przykrywką dla działalności konspiracyjnej. Była Irena „ciotką cichociemnych”. Podlegała komórce „Ewa” kierowanej przez Michalinę Wszeniewską „ciocię Antosię”. Na hasło: „przybywam ze Stawek” miała obowiązek tak długo czekać w mieszkaniu dopóki nie zgłosił się skoczek z Anglii. Przez mieszkanie na Noakowskiego przewinęło się 13 skoczków. Każdemu z nich Irena zapewniała odpoczynek i 2 tygodniowy „kurs wchodzenia w codzienne życie okupowanej Warszawy”. Był to bardzo ważny element konspiracyjnej działalności Ireny, gdyż tylko niektórzy ze skoczków znali miasto przed wojną. Po takim kursie każdy z nich rozpoczynał realizację zadania dla jakiego został zrzucony.

Oprócz Ireny w gabinecie przyjmowała pacjentów także Janina Krzyżanowska żona „Wilka” - komendanta AK w Wilnie, matka Olgi Krzyżanowskiej.

W działaniach konspiracyjnych czynnie uczestniczył również mąż Ireny. Działał w Departamencie Sprawiedliwości Delegatury Rządu na Kraj. W marcu 1944 r. został vice prezesem Rady Programowej Stronnictwa Pracy. W czasie Powstania pełnił funkcję sędziego specjalnego sadu orzekającego o winie i karze kolaborujących z Niemcami.

Również starszy syn Allan Andrzej ps. „Alik”, „Jędrak”, „Bomba”, harcerz ze zgrupowania „Golskiego” czynnie uczestniczył w walkach powstańczych. Walczył w obronie Politechniki i awansował do obsługi karabinu maszynowego.

Na 1 sierpnia 1944 r. otrzymała Irena przydział do szpitala ZUS mieszczącego się u zbiegu ulic Czerniakowskiej, Książęcej i Rozbrat. Jej konspiracyjnym pseudonimem stało się imię jej matki i odtąd działała jako „Dr Konstancja”.

Po tygodniu „Dr Konstancja” otrzymała rozkaz przejścia do szpitala zorganizowanego przy ul. Okrąg 4a. Była tam jedynym stałym lekarzem, mając do pomocy grupę sanitariuszek harcerek.

19 sierpnia 1944 r. obaj – ojciec i syn zginęli w czasie niemieckiego ataku na Politechnikę. O śmierci męża i syna „Dr Konstancja” dowiedziała się 21 sierpnia, tej samej nocy poszła do Śródmieścia i zabrała przebywającego tam młodszego syna Zbyszka do swojego szpitala na Czerniaków. W tym rejonie w sierpniu nie było jeszcze ciężkich walk. Do szpitala docierała 2 razy dziennie prasa powstańcza, a w każdą niedzielę lżej ranni mogli chodzić na mszę połową do gmachu komendy przy ul. Okrąg 2.

Atak na Czerniaków rozpoczęli Niemcy w początkach września. Walki były bardzo zacięte. Niemcy dążyli do odcięcia Polaków od Wisły i uniemożliwienia przedostania się na jej prawy brzeg gdzie stacjonowały oddziały wojsk radzieckich i polskich. W wyniku ciągłych walk zniszczeniu uległ szpital przy ul. Okrąg 4a, rannych ewakuowano więc do piwnic budynku przy Okrąg 2, „Dr



Konstancja” ani na chwilę nie opuściła swoich podopiecznych. W połowie września na skutek coraz większego naporu nieprzyjaciela szpital ewakuowano ponownie. Tym razem były to piwnice budynku przy ul. Wilanowskiej 18. Nocą z 18 na 19 września żołnierze „Radosława” wycofali się kanałami na Mokotów. Część rannych poszła z nimi. „Dr Konstancja” nakazała sanitariuszkom opuszczenie szpitala a sama zaś pozostała z najciężej rannymi, wraz z nią pozostał syn Zbyszek. O godz. 6 weszli Niemcy, nie wierzyli, że ranni to cywile. „Dr Konstancja” przeczuwając co może się wydarzyć ukryła Zbyszka w jednej z pustych piwnic i wróciła do rannych. Na jej oczach oficer S.A. zastrzelił 110 rannych, każąc jej sprawdzać czy żyją. Tylko 17 osób przeżyło egzekucję, niektórych „Dr Konstancja” ukryła pod poduszkami, do innych oprawcy nie dotarli, nielicznym mimo ran postrzałowych głowy przeżyli. Po przybyciu oficera SS „Dr Konstancja” kategorycznie zażądała ewakuacji ocalonych rannych. Zdołano uratować tylko 9 rannych, siedmiu pozostało na Wilanowskiej. Uratowanych przeniesiono na Okrąg 2 gdzie stworzono im w miarę znośniejsze warunki. Przez dwa tygodnie „Dr Konstancja” razem z grupką rannych żyła na opustoszałym Czerniakowie, zdobywając dla nich żywność i próbując zdobyć jakieś informacje o ogólnej sytuacji w walczącej Warszawie. Po kapitulacji wojsk powstańczych „Dr Konstancja” przedostała się do siedziby Gestapo w Alei Szucha i zdobyła przepustkę upoważniającą do ewakuacji rannych z Czerniakowa. Po szczęśliwie zakończonej akcji ewakuacyjnej, Irena z mieszkania przy Noakowskiego zabrała parę kleszczy do usuwania zębów, trochę niezbędnych rzeczy, ocalałe fotografie najbliższych i razem ze Zbyszkiem i jedną z sanitariuszek [Ninką Bemówną – córką oficera AK] poszli do Dworca Zachodniego. Przepustka z Gestapo pozwoliła im uniknąć obozu przejściowego w Pruszkowie. Kilka dni przebywała w Otrębusach, a potem do 17 stycznia 1945 r. mieszkała we wsi Brzuchania 7 km. od Miechowa gdzie leczyła miejscową ludność. Po 17 stycznia podjęła decyzję o powrocie do Warszawy. W Radomiu dowiedziała się, że dom przy Noakowskiego spłonął. Wróciła więc do Brzuchani, skąd w marcu 1945 r. przeniosła się do Podkowy Leśnej k / Warszawy. W lipcu 1945 r. zdecydowała się nie wracać do Warszawy i pojechała na rekonesans do Gdańska. Tam podjęła pracę w Klinice Stomatologicznej Akademii Lekarskiej W Gdańsku, której była adiunktem i zarazem kierownikiem. Pracowała również na ½ etatu w szpitalu oraz przyjmowała prywatnie w gabinecie przy ul. Batorego na przemian ze wspomnianą Janina Krzyżanowską. Postanowiła ukończyć studia medyczne, gdyż była świadoma, że dyplom stomatologa to za mało by awansować w hierarchii akademickiej. Zaliczono jej 3 lata na poczet studiów stomatologicznych i w 1946 roku przyjęta została na IV rok medycyny. Do lata 1948 roku zaliczyła wszystkie wymagane przedmioty na V roku i rozpoczęła zdawanie 16 egzaminów dyplomowych. Poważna choroba na pewien czas uniemożliwiła Irenie kontynuowania nauki. Po jej przezwyciężeniu zdała pozostałe egzaminy i obroniła pracę doktorską. 1 czerwca 1950 roku otrzymała



stopień doktora medycyny. Jesienią otrzymała propozycję objęcia stanowiska zastępcy profesora i kierownika Katedry Chirurgii Stomatologicznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Wyraziła zgodę i od listopada 1950 roku rozpoczęła od podstaw organizować Klinikę pracując jednocześnie naukowo co zaowocowało tytułem docenta nadanym jej w 1955 roku oraz stanowiskiem samodzielnego pracownika nauki. Kontynuacja badań naukowych i licznych publikacji zaowocowały tytułem profesora nadzwyczajnego nadanym jej w dniu 22 września 1961 roku.

Obok rozlicznych praw organizacyjnych związanych z kliniką, uczestniczyła w przygotowaniu kadry lekarskiej. Była promotorem w 10 ukończonych przewodach doktorskich, recenzowała 4 przewody habilitacyjne i liczne doktorskie. Pełniła rozliczne funkcje związane ze służbą zdrowia: Pełnomocnika ministra ds. stypendiów dla studentów Oddziału Stomatologicznego; Kierownika Przychodni Chirurgii Stomatologicznej w Przychodni Przychodni Specjalistycznej; Konsultanta Wojewódzkiego; Kierownika Oddziału Stomatologicznego; członka Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej przy Prez. Woj. Rady Narodowej.

Była doceniana przez władze lekarskie i polityczne Szczecina. W 1958 roku władze miasta nadały jej Złotego Gryfa, w 1971 roku przyznano jej Krzyż Kawalerski OOP, była honorowym członkiem Polskiego Tow. Stomatologicznego, otrzymała honorowy tytuł Zasłużonego Lekarza PRL.

W 1969 roku po rezygnacji z zajęć dydaktycznych i organizacyjnych w PAM wróciła do Warszawy i ponownie zamieszkała w domu przy ul. Fałata, w którym mieszkała w latach 1930-1939. Od polityki i partii trzymała się z daleka, była katoliczką i zwolenniczką Piłsudskiego.

Wielkim szacunkiem darzyli ją żołnierze zgrupowania kpt. „Kryski” oraz „cichociemni”. W latach 80-ych przykazano jej z Londynu K.W. nadany jej przez polskie władze emigracyjne w dniu 4 września 1949 roku.

Całe życie cechowała ją niespożyta energia i wielka siła woli. Do końca życia była aktywna i niezależna.

Zmarła 8 kwietnia 1984 roku w wieku 83 lat. Pochowana została na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie. Jej uczeń prof. Sylwester Kowalik żegnając ją wspominał to, czego całe życie uczyła innych, czemu zawsze dawała świadectwo swoim przykładem: „dobro chorego musi zawsze być na pierwszym miejscu”.

[na podstawie wspomnień o matce – syna „Dr Konstancji” Zbigniewa Semadeniego]

mgr Matgorzata Sikorska kierownik Sekcji Iconografii Archiwum Państwowego m. st. Warszawy.



Przypadek E. Konopackiej z Kennedy II/9  
16/V 2004 T. 647/195 C.  
Zamówienie

Dr. Irena Semadeni z domu Konopacka.  
Byłaby opacowany na podstawie materiałów  
za brzołach przez jej syna prof. Zbigniewa Semadeni.  
Pomimo wielokrotnych starań nie udało mu się wrócić do Polski.  
Umarł w Moskwie 2 września 1953 roku.

IRENA urodziła się 5 maja 1901 roku w Holuzji. W Moskwie skończyła gimnazjum Sacre Coeur. Lekcje były prowadzone w języku rosyjskim i francuskim.

Mając 18 lat Irena powróciła do Polski i w 1919 roku znalazła się sama w Warszawie. Przez rok uczęszczała do klasy maturalnej w prywatnym gimnazjum H. Gapnerówny aby zdobyć polską maturę. Mieszkała na Powiślu przy ul. Elektrycznej, w dzielnicy biedoty. Utrzymywała się z korepetycji z matematyki i opłacała swoje lekcje z łaciny i języka polskiego z którego miała zaległości.

Po zdaniu matury Irena wstąpiła na Politechnikę, jednak szybko zorientowała się, że nie podobała tym studiom finansowo. Zdecydowała się więc na tańsze studia w Państwowym Instytucie Dentystycznym. Po ukończeniu studiów w 1925 roku została asystentką prof. Alfreda Meisnera, a następnie pracowała przez 6 lat w Klinice Chirurgii Stomatologicznej. W 1927 roku poślubiła Tadeusza Semadeniego, sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie. Ponieważ dyplom wystawiony był na jej panińskie nazwisko, przez całe życie w oficjalnych dokumentach używała podwójnego nazwiska. Od 1928 roku Irena pracowała dodatkowo w Banku Polskim w Warszawie.



Irena z Konopackich Semadeni

Irena pracowała dodatkowo w Banku Polskim w Warszawie. Wazną rolę w jej życiu odegrała praca, którą prowadziła jako wolontariusz w latach 1932-1935 w charakterze lekarza w Klinice Położnictwa i Chorób Kobiety Uniwersytetu Warszawskiego. W wyniku tych badań opublikowała w 1937 roku szereg prac naukowych.

106  
"Kronika Rodu Konopackich"

Miała dwóch synów: starszy Allan Andrzej zwany "Alik" urodził się w 1928 roku, drugi Zbigniew Władysław w 1934 roku. Zbliżając się wojnę z Niemcami oceniła bez iluzji. Dzieci swe wywiozła daleko na Wołyn, do majątku Stawki, będącego w posiadaniu krewnych jej matki, Zaleskich. Z wybuchem wojny w 1939 roku została zmobilizowana jako lekarz. Po 17 września jej oddział się rozpadł. Przedostała się do Stawek, uzyskała tam parę kucyków i piechotę wyruszyła w drogę do Warszawy. Na wozie jechały prowianty i 5-letni Zbyszek. Po trzech tygodniach wędrówki szczęśliwie dotarli do Warszawy.

Tadeusz, mąż Ireny zgłosił się na początku wojny na ochotnika do wojska. Dostawszy się do niewoli sowieckiej udało mu się zbiec i w końcu dotarł do Warszawy. Zamieszkali w Śródmieściu, przy ul. Noakowskiego 20, naprzeciwko Politechniki. Tam Irena założyła prywatny gabinet stomatologiczny, źródło utrzymania rodziny. Gabinet był dobrym parawanem do działań konspiracyjnych, chronił także przed wyłączeniami prądu. Oprócz Ireny Semadeni, w gabinecie tym przyjmowała pacjentów Janina Krzyżanowska, żona "Wilka" komendanta AK w Wilnie. W mieszkaniu tym odbywało się też tajne nauczanie gimnazjum Batorego, do którego uczęszczał Alik. Przez cały okres okupacji Irena opiekowała się Tadeuszem Konopackim, synem swego kuzyna Jana znajdującego się w oślagu.

Przez długi czas Irena była "ciotką cichociemnych". Oznaczało to, że w podanym przez kuriera z Londynu terminie musiała przebywać w mieszkaniu, aż się zgłosi skoczek z Anglii. Hasłem było: "Przybywam ze Stawek". Skoczek taki najpierw odsypiał jedną, lub dwie doby, a potem jego "ciotka" miała przed dwa tygodnie wprowadzać go w codzienne życie wojennej Warszawy. Tylko niektórzy ze skoczków znali miasto przed wojną, wszyscy jednak musieli się dostosować do zupełnie nowej sytuacji. Po takim okresie wstępnym przechodzili do wykonania tego zadania, do którego zostali zrzućeni. Irena podlegała komórcie "Ewa" kierowanej przez "ciocię Antosię", Michalinę Wieszeniewską. Przez mieszkanie przy ul. Noakowskiego przewinęło się trzynastu skoczków, między innymi "Dżul", "Szary" i inni. Kilkadziesiąt lat później, nad grobem Ireny Semadeni-Konopackiej, jeden z cichociemnych, Stanisław Jankowski



"Agaton", podkreślając bohaterstwo "ciotek" zwrócił uwagę, że przyjmowały do siebie do domu zupełnie nieznanne im osoby i narażały na śmierć nie tylko siebie, lecz także męża i dzieci.

Zdarzały się też inne wydarzenia. Docent Henryk Beck był Żydem o typowo semickich rysach. W czasie wojny znalazł się we Lwowie, gdzie opiekował się swym ojcem niezbyt dobrze zorientowanym w politycznej sytuacji. Po zajęciu Lwowa przez Niemców, nie chcąc, by ojciec musiał nosić gwiazdę Dawida i narażał się na upokorzenia i śmierć, położył go jako chorego w szpitalu, w którym pracował. Pewnego dnia do szpitala wpadli SS-mani, gdy Beck zorientował się, że szukają Żydów i ich zabierają, wstrzyknął ojcu przygotowaną uprzednio truciznę. Sam uciekł ze Lwowa i wyjechał do Warszawy. Zjawił się na Noakowskiego 20, prosząc o pomoc. O przechowywaniu go w mieszkaniu, przez które przewijało się tyle osób, nie było mowy. Irena doczekała zapadnięcia zmroku i wsiadła z nim do tramwaju tak, żeby go nikt nie widział i zawiozła na Grochów do swojego krewnego Stanisława Konopackiego (byłego - wojewody wołyńskiego). Na Grochowie Beck przebywał jakiś czas, potem znalazłono mu lepszą kryjówkę, pokój bez okien w centrum Warszawy, trudny do zauważenia w czasie rewizji. Tam oczekiwał powstania, gimnastykując się codziennie i starając się zachować dobrą formę. W 1945 roku zaofiarowano mu katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zmarł niestety wkrótce potem.

Od 1 sierpnia 1944 roku w dniu wybuchu Powstania Warszawskiego, Irena dostała przydział do szpitala ZUS na rogu Czerniakowskiej i Książęcej. Za pseudonim przyjęła imię swojej matki Konstancji. Po tygodniu dostała rozkaz objęcia małego szpitala na ul. Okrąg 4a. Była tam jedynym lekarzem. Do pomocy miała grupę sanitariuszek, głównie harcerzek, które przeszły konspiracyjne szkolenie.

Syn Alik, 16-letni harcerz ze zgrupowania "Golskiego", walczył w obronie Politechniki. 19-stego sierpnia dostał w brzuch serię kul dum-dum z karabinu maszynowego i zmarł na stole operacyjnym. Jego ojciec Tadeusz zginął tego samego dnia w czasie ataku czołgów niemieckich na Politechnikę. W powstaniowym nekrologu podano, że poszedł z butelką benzyny na czołg. Jest przypuszczenie, że zrobił to po otrzymaniu wiadomości o śmierci syna. Po śmierci męża

110  
i syna, Irena przyszła nocą do Śródmieścia i zabrała ze sobą, do swego szpitala na Czerniaków młodszego syna, który jej pozostał. Zbyszek miał wtedy 10 lat.

W sierpniu nie było w tym rejonie ciężkich walk. Szpital otrzymywał dwa razy dziennie świeżą prasę powstańczą, w niedzielę rzej ranni chodzili na Mszę połową odprawianą przy gmachu komendy przy ul. Krąg 2.

Niemiecki atak na Czerniaków rozpoczął się w początku września. Po opanowaniu Starego Miasta głównym ich celem stało się odcięcie Polaków od Wisły, za którą na Saskiej Kępie, od 14 września znajdowały się wojska rosyjskie i polski 1 pułk piechoty. Była to ostatnia szansa dla Powstańców, dlatego walki były wyjątkowo zacięte. Obszar, na którym działał szpital, podlegał dowódcy zgrupowania kpt. "Krysec".

Po zbombardowaniu budynku przy ul. Okrąg 4a, szpital przeniesiono do piwnic przy Okrąg 2. Był to wielki, bardzo solidnie zbudowany budynek bankowy, który stał mocno pomimo wybuchu dwóch bomb, niezliczonej ilości pocisków, wybuchu "Goliata" i pożaru. W połowie września pierścien sił niemieckich zaczął się zaciskać. Doktor Konstancja operowała rannych niemal bez przerwy dzień i noc. Wyciągała odłamki, szyła rany, amputowała kończyny. Przesypiała na stojąco chwile pomiędzy ukończeniem jednej operacji, a położeniem na stole następnego rannego. Od czasu zbombardowania budynku bardzo wszystkim dawał się we znaki pył. Po każdym pocisku unosiły się tumany i trzeba było oddychać przez mokrą chustkę, a wody nie było.

W ostatnich dnia niepodległości Czerniakowa szpital ewakuowano do piwnic niedalekiego domu przy ul. Wilanowskiej 18. Nocą z 18 na 19 września żołnierze Radosława wycofali się. Większość przeszła kanałami na Mokotów, niektórzy próbowali przepłynąć Wisłę. Część iżej rannych poszła z nimi. Doktor Konstancja nakazała sanitariuszkom opuszczenie szpitala i udanie się z wojskiem, sama zaś została z rannymi. Ostatni powstańcy opuścili budynek o godz. 2 w nocy. Pomimo że Alianci uznali Armię Krajową za armię kombatancą już pod koniec sierpnia, nie wszyscy Niemcy stosowali się do przepisów Konwencji Genewskiej. Dowodem tego są



następujące wypadki. O godz. 6 rano przyszli Niemcy. Już przedtem rozstrzelali ludność cywilną z okolicznych domów i ciała leżały na podwórku między Okrąg 4a a Wilanowską 18. Domyślając się co może nastąpić, Doktor Konstancja umieściła syna w jednej z pustych piwnic i zamknęła drzwi. Młody oficer SA wyciągnął białe rękawiczki i przystąpił do rozstrzeliwania rannych. Doktor Konstancji kazal sprawdzać, czy trafieni żyją. Rozstrzelał około 110 osób. Do niektórych piwnic Niemiec nie dotarł, niektórzy żyli mimo postrzału w głowę. Po wyjściu tego oddziału i przyjścia innego oficera, Austriaka, Doktor Konstancja zaczęła się domagać ewakuacji pozostałych rannych. Niektórych rzeczywiście wyniesiono na noszach, ale podobno ich gdzie indziej rozstrzelano.

Siedmiu rannych nie zdążono ewakuować. Przeniesiono ich na Okrąg 2, gdzie zostali ulokowani nie w piwnicach, ale na parterze. Przez dwa tygodnie samotna grupka ludzi żyła w opuszczonej Czerniakowie. W dzielnicy tej w tym czasie nikt bez specjalnego pozwolenia nie miał prawa przebywać. Doktor Konstancja dokonała kilku niebezpiecznych wypraw chcąc się czegoś dowiedzieć i zdobyć jedzenie. Każdy jej powrót wywoływał wzruszającą radość pozostałych rannych.

W końcu nadeszła wiadomość o kapitulacji Warszawy. Doktor Konstancja udała się do siedziby Gestapo na al. Szucha i tam wytargowała specjalną przepustkę upoważniającą ją do ewakuacji rannych z Czerniakowa. Syna Zbyszka, z którym przedtem nie rozstawała się nawet na chwilę zostawiła na Lwowskiej, a sama poszła na Plac Trzech Krzyży szukać silnych mężczyzn, którzy koniecznie chcieli się dostać do zamkniętej strefy Czerniakowa. Brała ich na swoją przepustkę pod warunkiem, że w drodze powrotnej wniosą jedne nosze Książęcą do góry. Całą siódmkę rannych udało się w ten sposób ewakuować i wszyscy szczęśliwie dożyli końca wojny. Jedną z rannych była druhna Ninka Bemówna, sanitariuszka ze szpitala na Okrąg, osierocona po śmierci ojca, oficera AK, została pod opieką Ireny przez następne kilka miesięcy.

Okazało się, że mieszkanie przy ul. Noakowskiego 20 nie jest spalone. Irena wzięła z mieszkania parę narzędzi dentystycznych, wiedziała, że mając je przy sobie zawsze zarobi na życie, nawet bez

gabinetu. Po zabraniu tyłu rzeczy ile zdolali unieść, 6 października 1944 roku poszli w trójkę piechotą na Dworzec Zachodni. W czasie krótkiego pobytu u swych krewnych Duninów w Otrębusach, Irena, która w czasie Powstania straciła około 15 kg na wadze, doszła do wniosku, że najlepiej doczekać końca wojny gdzieś na wsi, gdzie będzie dość jedzenia i wszyscy się odkarmią.

Wybór padł na wieś Brzuchania, 7 km od Miechowa, w okolicy pagórkowatej, znanej z lessowych gleb. Przybyli tam w czwórkę, razem z tesciową Heleną Semadeni. Irena na fotelu fryzjerskim przyjmowała pacjentów. Warunki w Brzuchani były dość prymitywne, klepisko w chacie, noszenie wody z dalekiej studni, całą jesień błoto po kolana, ale jedzenia było w bród.

Po 17 stycznia 1945 roku Irena starała się dostać do Warszawy, ale dowiedziała się, że dom przy Noakowskiego 20, wraz z innymi domami został spalony po Powstaniu przez specjalne ekipy niemieckie. Wróciła więc do Brzuchani, skąd w marcu wszyscy przenieśli się do Podkowy Leśnej, a potem do Gdańska. Irena trzeźwo oceniła powojenną sytuację, stwierdziła, że możliwości prywatnej praktyki w systemie komunistycznym szybko się skończą, a lepsze życie może mieć ktoś związany z uczelnią.

Została adiunktem i kierownikiem Kliniki Stomatologicznej Akademii Lekarskiej w Gdańsku. Klinika zajmowała barak przy ul. Dębinki. Irena pracowała w tym samym czasie na pół etapu w szpitalu przy ul. Świerczewskiego, głównie po to, aby móc tam doglądać swoją nie wstającą już z łóżka tesciową. Trzy razy w tygodniu przyjmowała też pacjentów w swym prywatnym mieszkaniu przy ul. Batorego 4.

Irena była świadoma, że dyplom stomatologa to za mało, aby awansować w hierarchii akademickiej. Pomimo ogromnego obciążenia pracą zawodową zdecydowała się ukończyć medycynę. Zaliczono jej trzy lata na poczet studiów stomatologicznych i w roku 1946 przyjęto na IV rok. Do lata 1948 zaliczyła wszystkie wymagane zajęcia piątego roku oraz rozpoczęła zdawanie 16 egzaminów dyplomowych.

We wrześniu tego samego roku okazało się, że ma raka piersi. W parę dni potem odbyła się wielogodzinna radykalna operacja. Przeżyła wiele dni po operacji stan chorej był bardzo poważny, skrzący,



problemy z sercem. Gdy stan jej się poprawił, przez wiele tygodni przebywała w Instytucie Radowym w Warszawie na naswietleniach. Po powrocie do Gdańska zdała pozostałe egzaminy dyplomowe, a następnie ukończyła i obroniła swą pracę doktorską. Dnia 1 czerwca 1950 roku Rada Wydziału Lekarskiego w Gdańsku nadała jej stopień doktora medycyny.

Jesienią objęła stanowisko zastępcy profesora i kierownika Katedry Chirurgii Stomatologicznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Po Klinice Stomatologicznej w Gdańsku Irena zorganizowała od podstaw drugą klinikę w Szczecinie. Początkowo liczyła ona zaledwie kilka łóżek, w dwa lata później rozwinęła się do pełnej kliniki o 40 łóżkach, zapewniającej pomoc specjalistyczną chorym z trzech ówczesnych województw.

Irena zajmowała się również naukowymi publikacjami. Większym dziełem była praca pod tytułem "Tramatologia szczękowa" w 1963 roku, pierwsza książka z tej dziedziny w Polsce. W Szczecinie otrzymała tytuł docenta, później profesora nadzwyczajnego. Dr Irena była promotorem w 10 ukończonych przewodach doktorskich. Poza kierowaniem Kliniką Chirurgii Stomatologicznej, pełniła w Szczecinie wielu innych funkcji do których należał udział w Komisji Weryfikacyjnej dyplomów wszystkich bez wyjątku lekarzy woj. szczecińskiego. Była recenzentem w 4 przewodach habilitacyjnych poza Szczecinem i licznych doktorskich, jak również była konsultantem wojewódzkim.

Syn Ireny Zbigniew po skończeniu fizyki na Uniwersytecie Poznańskim został pracownikiem naukowym i przeniósł się do Warszawy. Dr Irena czując się osamotnioną opiekowała się najpierw Wojtkiem Rodowiczem, bratankiem Jana Rodowicza, legendarnego "Anody" z "Kamieni na szaniec", a w kilka lat później Jasiem Klimaszewskim, wnukiem Jana Konopackiego. Obaj uczyli się w Szczecinie przez całą szkołę średnią, zdali matury i wyjechali studiować dalej.

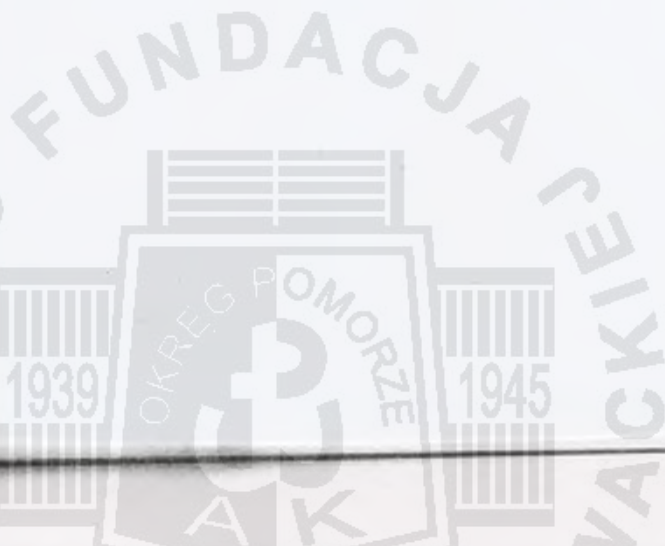
W Szczecinie władze miasta nadały Irenie odznakę "Złotego Gryfa", w 1971 przyznano jej Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, otrzymała między innymi członkostwo honorowe Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego oraz tytuł honorowy "Zasłużony

Lekarz PRL". Wielkim szacunkiem darzyli ją weterani zgrupowania kpt. "Kryski", a także cichociemni. W latach 80-tych przekazano jej z Londynu Krzyż Walecznych, nadany dnia 4 sierpnia 1949 roku przez polskie władze emigracyjne.

Na emeryturze była dalej aktywną. Została członkiem zarządu spółdzielni mieszkaniowej i działaczem ogrodów działkowych. Mieszkała blisko rodziny syna i wnuków, ale do końca zachowała niezależność. Zmarła 8 kwietnia 1984 roku w Warszawie.<sup>31</sup>

*Antoni Szyman ?*

*Antoni Pomiecha  
Konopacki*





### III 11 Inne materiały dot. rodziny relatora

- Zbigniew Śmadeni, Ojciec i syn - Tadeusz i Alon Śmadeniowie,  
Jednota - miesięcznik religijno społeczny 8/94, kopia, k. 2 s. 1-4.
- Olgierd Budrewicz, Nadwiślańscy Śwajcarzy, Stolica, kopia, k. 1 s. 5-6
- Olgierd Budrewicz, Nadwiślańscy Śwajcarzy (d) Stolica, kopia, k. 1 s. 7-8





# Jednota

**MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY**

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

## POLACY!

Walka zbrojna o wyzwolenie stolicy rozpoczęła!

Delegat na Kraj -- Wicepremier Rządu Rzeczypospolitej i Przewodniczący Rady Jedności Narodowej w porozumieniu z Dowódcą Armii Krajowej zdecydowali wystąpienie zbrojne w dniu 1.VIII. r. b.

Trzy dni walki z okupantem przyniosły nam wielkie sukcesy taktyczne i moralne.

Oddziały Armii Krajowej opanowały, łamiąc opór okupanta większą część stolicy, wyzwalając jednocześnie w duszach Polaków entuzjazm dla walki i ufność w jej powodzenie.

Całe społeczeństwo polskie, a przede wszystkim lud Warszawy, śpieszy oliarnie z pomocą walczącym; wszyscy podporządkowali się kierownictwu powstania, oddając do jego dyspozycji swe siły, wykazując dyscyplinę moralną i wysoką oliarność w działaniu.

Nie jedną przeszkodę napotkamy jeszcze na drodze do zupełnego wyzwolenia. Ale zespolone siły całego Narodu Polskiego, podporządkowane Rządowi Polskiemu w Londynie, Krajowej Radzie Ministrów i Dowódcy Armii Krajowej przewyżczą je tak, jak łamią dziś opór okupanta na ulicach Warszawy.

Masy ludu pracującego -- chłopów, robotników i inteligencji walczą o POLSKĘ Demokratyczną, POLSKĘ sprawiedliwości społecznej, POLSKĘ ludzi pracy!

**NIECH ŻYJE POLSKA NIEPODLEGŁA**

Delegat na Kraj  
Wicepremier Rządu Rpał

Przewodniczący  
Rady Jedności Narodowej

Dowódca  
Armii Krajowej

Warszawa, dnia 3 sierpnia 1944 r.

8

94

Rocznik XXXVIII (LIII)



## Ojciec i syn – Tadeusz i Allan Semadeniowie

Wspomnienie o Ojcu i Bracie piszę z okazji 50. rocznicy Powstania Warszawskiego. Uwypuklam fakty naświetlające ich rolę w walce z okupantem, a także pewne wątki osobiste, natomiast staram się ograniczyć do minimum informacje znane już z różnych innych publikacji. \*

Mój Ojciec, Tadeusz Semadeni, urodził się 4 czerwca 1902 r. w Kaliszu. Był synem księdza Władysława Semadeniego, późniejszego superintendenta Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce, i Heleny z domu Haberkant, córki Adama, pastora ewangelicko-augsburskiego, zesłanego na Syberię za udział w powstaniu 1863 r. Helena Semadeni prowadziła w Kaliszu znaną pensję. Jedną z jej uczennic była Maria Dąbrowska, która nakreśliła żywy wizerunek swoich wychowawców na kartach *Nocy i dni* (gdzie występują jako Wenordenowie).

Ks. Władysław Semadeni został proboszczem zboru warszawskiego w 1908 r. i po jakimś czasie reszta rodziny przeniosła się do Warszawy. Od 1913 r. Tadeusz uczęszczał do gimnazjum E. Konopczyńskiego a następnie przez rok uczył się w Collège Classique Cantonal w Lozannie. Na wieść o wybuchu wojny postanowił opuścić Szwajcarię i jak najszybciej dotrzeć do Polski. Zachowany z tego okresu

jego paszport szwajcarski z licznymi wizami i stemplami ukazuje cały dramat skomplikowanej, 5-miesięcznej podróży chłopca przez objętą wojną Europę. Do Warszawy dotarł pod koniec 1915 r., co poświadcza w tym paszporcie data zameldowania — 17 grudnia.

Podjął naukę najpierw w gimnazjum Konopczyńskiego, a potem (klasy VI—VIII) w gimnazjum im. Jana Zamojskiego. Temat jego pracy maturalnej (czerwiec 1920) z języka polskiego brzmiał: *Czy Polska należy do kultury łacińskiej czy wschodniej?*

Zarówno mój Dziad, ksiądz Władysław (urodzony w 1865 r. w Warszawie), jak i Ojciec, Tadeusz, zmienili w latach dwudziestych swe szwajcarskie obywatelstwo na polskie. W przeciwieństwie do cukierników Semadenich ze słynnej kawiarni „Pod Filarami”, ci dwaj zawsze czuli się Polakami. Władysław nosił czysto polskie imię. Nadał mu je jego ojciec, Józef, który — urodzony w 1812 r. w Poschiavo jako Giuseppe Semadeni i przybyły do Polski ok. roku 1835 — sam nie potrafił wymówić prawidłowo tego „Władysław”. Tadeusz mógł w czasie okupacji wykorzystać swoje byłe obywatelstwo szwajcarskie, ale nie chciał tego uczynić.

Uniknął regularnej służby wojskowej, trzykrotnie jednak zaciągał się do wojska jako ochotnik: w roku 1920, 1939 i 1944, zawsze w randze szeregowca. W czasie wojny z bolszewikami służył od lipca do listopada 1920 r. w 9. dywizjonie artylerii konnej.

Studiował na Wydziale Prawa (dyplom 1924), potem na Wydziale Filozoficznym. Od 1929 r. był sędzią grodzkim w Łodzi, następnie sędzią w Sądzie Okręgowym w Warszawie, od 1937 r. kierownikiem referatu wyszkoleniowego w Ministerstwie Sprawiedliwości, a od wiosny 1939 r. — wiceprokuratorem Sądu Apelacyjnego w War-

szawie. Miał ścisły, analityczny umysł i świetnie znał prawo; adwokaci narzekali, że trudno go było zwieść prawnymi sztuczkami.

Napisał książkę *Prawo o ustroju adwokatury. Komentarz-orzecznictwo*, wydaną w 1938 r. W przedmowie do tej książki Mieczysław Siewierski, prokurator Sądu Najwyższego, napisał m.in., że autor „był niejako świadkiem aktu narodzin nowego prawa i to we wszystkich jego stadiach”. Gdy czytam teraz tę książkę, to chociaż dotyczy dziedziny dla mnie obcej, dostrzegam, że wszystko jest w niej jasne, głęboko humanistyczne, pisane precyzyjną polszczyzną.

Tadeusz Semadeni najbardziej znany jest ze swoich pasji sportowych i uważany za głównego organizatora sportu pływackiego w Polsce. Był pierwszym rekordzistą Polski w pływaniu na 100 metrów stylem dowolnym (pływano wtedy głównie żabką; kraula pokazano w Polsce po raz pierwszy ok. 1925 r.). Był też sędzią na Olimpiadzie w Berlinie. Grywał dużo w piłkę wodną, a ponadto był bardzo aktywnym dziennikarzem sportowym i autorem książki *Pływanie. Podręcznik techniki; statut, regulamin i przepisy Polskiego Związku Pływackiego* (Ossolineum 1928), rozpoczętej wspólnie z A. Zaleskim,



Tadeusz Semadeni w młodości



Allan przy mikroskopie



zmarłym we wczesnym stadium pracy nad tym dziełem.

W 1927 r. Tadeusz Semadeni poślubił Irenę Konopacką, chirurga-stomatologa, katoliczkę. W domu naszym (podobnie jak na pensji Heleny Semadeni w Kaliszu) panowała atmosfera tolerancji religijnej.

We wrześniu 1939 r. Ojciec, wzięty do niewoli bolszewickiej, udawał skutecznie chłopca z Wołynia (znał dobrze Stawki k. Lubomla, gdzie wielokrotnie spędzał wakacje u krewnych Matki) i dzięki temu udało mu się wydostać na wolność.

W czasie okupacji ciężar utrzymania naszej rodziny spadł na Matkę, prowadzącą gabinet dentystyczny. Mieszkaliśmy przy ul. Noakowskiego 20 m. 3. Oboje rodzice brali udział w konspiracji. Matka była „ciotką cichociemnych”. Ojciec od początku 1940 r. wchodził w skład prezydium organizacji „Znak”. Po tem razem ze „Znakiem” wszedł do Konfederacji Narodu, a w utworzonej w styczniu 1941 r. Konfederacji Zbrojnej został kierownikiem sekcji sprawiedliwości w Oddziale IV Sztabu Głównego. W 1944 r. został wiceprezesem Rady Programowej Stronnictwa Pracy.

Zarazem przez całą okupację był sędzią Wojskowego Sądu Specjalnego AK, a także współpracował z Departamentem Likwidacji Skutków Wojny i Departamentem Sprawiedliwości Delegatury Rządu na Kraj.

Opracowywał propozycje rozwiązań prawnych dla niepodległej Polski. Szczególnie ważne było unormowanie sytuacji powstałej w wyniku wojny i okupacji. Materiały te przetrwały, zakopane w butelkach w ogrodzie mego wuja inżyniera Edmunda Dunina w Otrębusach k. Warszawy, i zostały po wojnie wykorzystane przez wspomnianego już Mieczysława Siewierskiego w artykule *O właściwe zasady odpowiedzialności nieletnich* („Państwo i Prawo”, luty 1948), który napisał: „...autor niniejszego artykułu miał szczęśliwą możliwość skorzystania z notatek zawierających ostateczne wyniki pracy grona osób dobrej woli — znawców przedmiotu, którzy w latach okupacji z myślą o lepszej przyszłości dążyli do ustalenia nowych zasad



Tadeusz Semadeni jako ochotnik w wojnie bolszewickiej 1920 r.

zwalczania zjawiska przestępczości nieletnich w Polsce Wyzwolonej. Były to czasy, gdy praca nawet tak bardzo humanitarna prowadzona musiała być w ścisłej konspiracji, a w razie ujawnienia groziła obozem i śmiercią. [...] Pracy tej przewodził prawnik o twórczym umyśle, niezapomniany Kolega śp. Tadeusz Semadeni. Żył nadzieją, że będzie jednym z budowniczych nowego sądownictwa, lepszego i doskonalszego. Zginął w Powstaniu Warszawskim śmiercią żołnierza, odpierając atak niemiecki na Politechnikę w dniu 19 sierpnia 1944 r.”

Ojciec był przede wszystkim humanistą o szerokiej wiedzy z literatury i historii, miłośnikiem starożytnej Grecji i Rzymu, starych mebli, perskich dywanów. Interesowała go też praktyczna strona życia. W czasie okupacji jeździł z interesami do cukrowni w Ciechanowie, w domu mełł zboże ręcznym młynkiem, na wsi z zapalem rąbał drzewo. Pamiętam Ojca, jak wieczorami przy biurku rysował czarnym tuszem i sepią szczegółowe plany architektoniczne naszej willi, którą mieliśmy zbudować kiedyś po wojnie, a także ślicznie ją rysował w perspektywie. Towarzyszyłem mu też w układaniu pasjansów.

W czasie okupacji Ojciec przyjął taktykę wytwornego ubierania się. Chodził w meloniku i nienagannym

ubrani. Tak było bezpieczniej. Ale mimo to pewien szpicel poprosił go do bramy, by sprawdzić, czy jest aryjczykiem.

Stanisław Jankowski („Agaton”) w swej książce *Z fałszywym Ausweisem w prawdziwej Warszawie* opisuje głośną historię ucieczki Zofii Rapp (pracującej dla wywiadu AK pod pseudonimem „Marie Springer”) z rąk Gestapo we Lwowie i przywiezienia jej przez mojego Ojca ze Lwowa do Warszawy. Podróż tę, ogromnie niebezpieczną, odbywali w ostatnich dniach ciąży Zofii. Ojciec w pociągu czule tulił się do niej i powtarzał: „Zosiu, poczekaj. Jeszcze nie ródź. Poczekaj jeszcze”.

Mój Brat, Allan Andrzej, urodził się 17 kwietnia 1928 r. Był starszy ode mnie o 6 lat. Po szwajcarskich przodkach odziedziczył czarne kręcone włosy. W rodzinie mówiono nań Alik (lub Ali), a koledzy zwali go Jędrék lub Bomba, ze względu na temperament i roznoszącą go energię. Nie potrafił schodzić po schodach, zawsze zbiegał. Zawsze był czymś zajęty. Jak coś robił, to z wielkim oddaniem. W czasie okupacji uczył się na tajnych kompletach, odbywających się m.in. w naszym mieszkaniu. Miał wielki talent inżynierski, a także umiejętności manualne. Zmieniał zainteresowania — w jednym roku entuzjazmował się fotografią (znały go wówczas wszystkie zakłady fotograficzne Warszawy, gdzie zbierał nowinki techniczne), w innym mechaniką czy raczej ślusarstwem. Skupywał porzucane części na Kercelaku, czyścił je, a w końcu zmontował z nich tokarkę, uruchomił i używał jej później w Zawoi.

Był członkiem Szarych Szeregów. Przyrzeczenie harcercskie składał w pokoju wyłożonym hitlerowskimi flagami, zerwanymi z niemieckich budynków. W czasie Powstania miał 16 lat. Najpierw działał w grupie gaszącej pożary na strychach w okolicy ul. Noakowskiego. Potem zaprzysiężono go i został żołnierzem AK w batalionie Golskiego. Pewnego dnia z dumą mi powiedział, że awansował do obsługi karabinu maszynowego broniącego Politechniki. Pamiętam, że wcześniej, w czasie okupacji, pomimo moich



gorących protestów dorobił magazynek do mojego drewnianego karabinu-zabawki i przerobił go na pistolet automatyczny; w czasie Powstania przyznał mi jednak, że karabin jest znacznie lepszą bronią.

W lipcu 1944 r. przebywałem na wakacjach u mego wuja Dunina w Otrębusach. W przeddzień Powstania mój Ojciec powiedział do Brata: „Jutro o 5 po południu wybuchnie Powstanie. To będzie historyczny dzień. Dzieci będą się o tym uczyć w szkołach. Powstanie potrwa jakieś trzy dni. Szkoda, by mój syn nie był świadkiem tych wydarzeń. Ali, jedź do Otrębus i przywieź Zbyszka”. Takie nastroje panowały w rodzinie współpracownika Delegatury Rządu na Kraj, mającego lepszy niż inni dostęp do informacji.

Od 1 sierpnia 1944 r. Tadeusz Semadeni (kolejnym pseudonimem był „Witold”) kierował Komisją Sądową badającą odpowiedzialność schwytych folksdojców i kolaborantów. 19 sierpnia 1944 r. przed godz. 4 rano Niemcy zaatakowali Politechnikę (od strony al. Niepodległości i Pola Mokotowskiego). Według relacji z powstańczej „Rzeczypospolitej” widziano mego Ojca, jak z butelką benzyny atakował niemiecki czołg i poległ. Matka moja po wojnie bezskutecznie próbowała dotrzeć do jakiegokolwiek świadka tego wydarzenia. Bezskutecznie szukała też ciała Ojca, biorąc udział w licznych ekshumacjach w okolicach Pola Mokotowskiego. Jako stomatolog wiedziała, że rozpozna po zębach nawet spalone szczątki. W kilka lat po wojnie zebrała do urny ziemię z różnych miejsc z okolic Politechniki i zakopała ją wśród grobów rodziny na cmentarzu na Żytniej. Napis na pomniku jest symboliczny.

Alik przeżył Ojca o kilka godzin. 19 sierpnia o godz. 5 po południu, gdy stał obok swego przyjaciela Antka Mączaka (dziś profesora historii na UW), z którym kiedyś wcześniej podpisał pakt braterstwa, został trafiony serią kul dum-dum z karabinu maszynowego. Przeniesiono go do szpitala na Lwowską. Zmarł na stole operacyjnym. Operował go dr Zbigniew S. Lewicki, bli-

ski przyjaciel Ojca z AZS, świadek na ślubie naszych rodziców. Alika pochowano na jednym z podwórek przy Lwowskiej, a po wojnie ekshumowano na Żytnią.

W trzy dni później moja Matka przyszła nocą i zabrała mnie na Czerniaków do swego powstańczego szpitala przy ul. Okrąg. Dopiero tam powiedziała mi, że Tatuś i Alik zginęli.

Gdy mój Ojciec był młodzieńcem, Cyganka przepowiedziała mu, że w czterdziestym drugim roku zginie na wojnie albo w pojedynku. W 1939 r. zaniepokoił się tą przepowiednią, a 31 grudnia 1942 r. odczuł ulgę. Zginął mając 42 lata.

Według powstańczych informacji Ojciec został pośmiertnie odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, a Brat — Krzyżem *Walecznych*. Krzyże te Matka poleciła wyrzeźbić na nagrobku na Żytniej. Kilka lat temu A. K. Kunert pokazał mi fotokopię wniosku (datowanego 30 VIII 1944 r., podpisanego przez kpt. Golskiego) o odznaczenie Krzyżem *VM V* klasy śp. prokuratora Semadeniego, stopień strzelec, pseudonim Alan. Pomyłono pseudonim Ojca z imieniem Alik. W uzasadnieniu czytamy: „Prokurator Sądu Specj. w dn. 19.8.44 zgłosił się na ochotnika do akcji zwalczania czołgów w czasie natarcia na Politechn. Brał udział w 4 wypadach na czołgi, roznosił amunicję i brał udział w przeciwdziałaniu, gdzie zginął od ognia ckm. Wykazał niezwykłą odwagę porywając za sobą innych”. Na wniosku, pisanym na maszynie, różnymi charakterami pisma dopisano adnotacje: „K.W.”, „Zgoda 11/9 44. Radwan”.

„Załatw.”. Pułkownik „Radwan” był dowódcą Obwodu Śródmieście.

Matka moja przez wiele lat rozmyślała, jak potoczyłyby się nasze losy, gdyby Ojciec i Brat nie zginęli owego feralnego 19 sierpnia. Były to właściwie jedyne poważne walki w tym rejonie Warszawy. Matka zwracała też uwagę na to, że obaj polegli jeszcze w szczęśliwym okresie Powstania, gdy powstańcy w Śródmieściu atakowali Niemców (np. „Pastę” zdobyto 20 sierpnia).

Nie ulegało też dla niej wątpliwości, że gdyby Ojciec żył po wojnie w Polsce, to jako aktywny uczestnik konspiracji związanej z AK byłby aresztowany przez UB i skazany. Jego bliski przyjaciel, dwukrotnie wspomniany już Mieczysław Siewierski, pełnił wprawdzie zaraz po wojnie funkcję pierwszego prokuratora Sądu Najwyższego, a potem był oskarżycielem w głośnych procesach dygnitarzy niemieckich, jednak później został aresztowany i skazany na śmierć (wyrok ten zamieniono na dożywotnie więzienie; po 1956 r. Siewierski został oficjalnie zrehabilitowany). Stalinowski prokurator oskarżył go m.in. o napisanie przedmowy do książki Tadeusza Semadeniego *Prawo o ustroju adwokatury*.

Zbigniew Semadeni

\* Najważniejsze źródła: hasło *Tadeusz Semadeni* w I tomie *Słownika biograficznego konspiracji warszawskiej 1939—1944* Andrzeja Krzysztofa Kunerta (skąd zaczerpnąłem wiele danych) oraz rozdział *Nadwiślańscy Szwajcarzy* w III tomie *Sag warszawskich* Olgierda Budrewicza, który pozbił wiele informacji o rodzinie Semadenich. W publikacjach tych można znaleźć dość obszerną bibliografię.

### REDAKCJA INFORMUJE

zainteresowane osoby, przedsiębiorstwa i instytucje,  
że przyjmuje do druku

### PŁATNE OGŁOSZENIA I REKLAMY

Informacje o cenach, terminach i warunkach ukazania się ogłoszenia lub reklamy są udzielane codziennie (z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt) w godz. od 10<sup>00</sup> do 14<sup>00</sup> pod numerem telefonu 31-23-83.



# NADWIŚLAŃSCY SZWAJCARZY

Wiele dali temu krajowi i miastu od chwili przybycia ze Szwajcarii, a więc od dwustu blisko lat. Mieli nader szeroki zakres zainteresowań – bogacieli kulturę w różnych dziedzinach życia. Przywędrowali z dalekiego, cichego kantonu Grison, a żyli i umierali w Polsce, Warszawie, gdzie tak rzadko było spokojnie.

Ich gniazdem rodzowym było Poschiavo, duża wieś na południowych stokach Alp, kilkanaście kilometrów od granicy włoskiej. Nazwisko Semadeni widnieje tam do dziś na niejednym sklepie, a także... na kawiarni. Pochodzi ono od miejscowości Samedan, leżącej w dolinie Innu, kilka kilometrów od St. Moritz. Samedan oddziela od Poschiavo przełęcz Bernina (2300 m n.p.m.), przez wiele zimowych miesięcy zamknięta dla ruchu kołowego. Od czasów średniowiecza liczni mieszkańcy Poschiavo wywodzący się z Samedan zwani byli Samadan, Samadano, Samadeni lub Semadeni (St. Łoza: „Rodziny polskie pochodzenia zagranicznego, osiedlone w Warszawie i okolicach”, tom III, Warszawa 1932).

Nasi polscy, warszawscy „Szwajcarzy” znani są jako Semadeniowie.

Obie flagi narodowe – białokrzyska i biało-czerwona – były bliskie ich sercu. Przez wszystkie pokolenia członkowie tej znakomitej rodziny zachowywali szwajcarskie obywatelstwo. Wyjątkami byli: pastor, superintendent Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce Władysław Semadeni, który z racji swej funkcji przyjął obywatelstwo polskie, jego syn, Tadeusz i dalsi potomkowie.

## 1.

W dawnym, ocalałym mieszkaniu przy ulicy Fałata w Warszawie spotykam się po raz pierwszy z przedstawicielami Semadenich i po raz pierwszy biorę do ręki rodzinne dokumenty.

Przyjechał ze Szwajcarii Arnold Semadeni, syn Ryszarda Jakuba, wybitny przemysłowiec i biznesmen z St. Gallen. Obecna jest Irena Semadeni, lekarz, profesor medycyny, żona poległego w Powstaniu Warszawskim prawnika i znanego sportowca, Tadeusza. Jest także jej syn Zbigniew Semadeni, profesor matematyki.

W czasie tej rozmowy mówi się, jak zwykle przy takich okazjach dość chaotycznie, o wszystkim. O początkach rodu, o jego niebanalnej historii, o obecnej sytuacji.

Przede wszystkim jednak wzywa się od razu na pomoc literaturę, by uzasadnić niejako wybór losów tej właśnie rodziny do księgi pamięci narodowej.

Bolesław Prus napisał kiedyś:  
Miłościu! Także rozmarzyła mnie  
Takeś rozkołysała duszę,  
Że aż do Semadynie  
Go na czarną kawę iść muszę

Z własnej pamięci wygrzebuje kilka felietonów Antoniego Słonimskiego, który wspominał swego ojca, tak chętnie przesiadującego w kawiarni „Pod Filarami” na placu Teatralnym.

Ten ważny obiekt w geografii stolicy Polski wieściła lekkim piórkiem Maja Berezowska: trzy wytworne paniusie siedzą w kawiarni u Semadeniów, do ich stolika zbliża się pan w cylindrze...

W aktach parafii Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Warszawie znajduje się rodowe drzewo genealogiczne, w którego gałęzi zaplatają się teraz pełen zdziwienia. Jest nad czym pomyśleć – drzewo sięga głęboko korzeniami, zaczyna się w sposób udokumentowany w roku 1539 od człowieka imieniem Andrea. Zauważmy, że do końca XVIII wieku wszystkie imiona w tej rodzinie zachowały brzmienia włoskie: Dolfino, Gasparo, Andrea, Giacomo, Antonio. Miejsca urodzin i śmierci znajdowały się w alpejskich dolinach.

Ta jednorodność imion załamuje się nagle w którymś momencie i oto pojawiają się Jakubowie, Kacprowie, Józefowie, a także nazwy polskich miejscowości – Płock, Łomża, Kalisz.

Uformowały się dwie rodzinne gałęzie polskich Semadenich. Obie przez krótki czas omijały Warsza-

wę. Tzw. linia „Cukiernicza” od Kacpra (1762–1839) znalazła się w Łomży, Płocku i Lublinie, a następnie Kijowie. Linia „pastorska” – od Giuseppe’a (1765–1833) – najpierw w Płocku i Łomży, potem w Kaliszu.

Do stolicy ściągnęli pierwsi Semadeniowie w początkach XIX stulecia.

Tu godzi się zauważyć, że długo, bardzo długo, mieli skłonności do łączenia się w stadła rodzinne z osobami pochodzenia szwajcarsko-włoskiego, do żenienia się z dziewczynami z domu Ragazzi, Lardelli, Pozzi, a także... Semadeni.

Przybyłszy ze Szwajcarii, przeważnie z szwajcarskimi paszportami w kieszeni, nie ukrywali swych materialnych i uczuciowych związków z Polską. Dokumentowali to udziałem w powstaniach narodowych, piękną postawą patriotyczną, przywiązaniem do przybranej ojczyzny i jej stolicy.

Przyglądam się uczestnikom spotkania na ulicy Fałata, kolejnym Semadenim, i przypominam sobie amerykańskie powiedzenie: „Człowiek jest niczym innym, jak tylko prowizorycznym punktem etapowym, gdzie jego przodkowie odpoczywają przez chwilę w drodze do stania się jego potomkami”.

## 2.

Czy się to komu podoba czy nie, duża część dzieł wielu miast rozgrywała się przy kawiarnianych stolikach. W zacisznych lokalach kawiarnianych i gastronomicznych zbierali się politycy, spiskowcy, pisarze, dziennikarze, artyści.

Niejedną ważną ideą narodziła się przy filiżance mokka. Warszawskie cukiernie wspomina Ignacy Baliński („Wspomnienia o Warszawie”. Składnica Księgarska, Edynburg 1946). Doskonale opanował on geografii kawiarnianą schyłku XIX i początku XX wieku. Czytamy tam m.in.:

„W cukierniach warszawskich podawano wówczas tylko herbatę (szklanka z płatkami cytryny 10 kopiejek), kawę białą i czarną (filiżanka 20 i 15 kopiejek), czekoladę, i rozmaite, a coraz wymyślniejsze ciastka deserowe po 10 kopiejek, drożdżowe i suche po 6 kopiejek. Latem większość cukierni urządziła na chodniku podłużną werandę z płóciennym dachem i balustradą ze sztucznego bluszczu”.

Baliński ubolewa, że znikły – obok innych – dwie dawne cukiernie Semadeniego, w tym ta przy ulicy Świętokrzyskiej. Wspomina też cukiernię Janowskiego pod filarami Teatru Wielkiego, która „ustąpiła swego interesu Semadeniemu”. Skądinąd wiemy, że przez krótki czas istniała również kawiarnia innego z Semadenich na skraju Ogrodu Saskiego, przy rogu ulicy Królewskiej, gdzie chętnie przesiadywali pisarze i dziennikarze.

Cukiernia „Pod Filarami” na placu Teatralnym założona była w początku XIX wieku i nieco później przeszła w ręce Semadenich. Opisuje ją Ignacy Baliński: „.... W dwóch mrocznych i pełnych dymu pokojach na lewo i na „górcę” zbierali się w czasie prób i przed przedstawieniem aktorzy”. Zbierali się – dodajmy – także inni, wśród nich Franc Fiszler i dr Stanisław Słonimski, ojciec Antoniego, pierwowzór prusowskiego doktora Szumana.

O tym okresie pisze Jan Stanisław Bystron w swej „Warszawie” (PIW, 1977): „Cukierni liczone 38; w niektórych z nich, wytwornie urządzone, były pokoje do czytania gazet. Najlepszą frekwencją cieszył się lokal pod kolumnami Teatru Wielkiego, dalej Strassburger (później Lessel), dalej Semadeni na Nowym Świecie (róg Świętokrzyskiej)”.

Najobszerniej opisuje słodką działalność Semadenich Jadwiga Waydel Dmochowska w szkicu „Cukiernie” w książce „Jeszcze o dawnej Warszawie” (PIW, 1960). Wymienia wiele nazwisk (Baldi, Baitresco, Carlucci, Bini, Bivetti, Conti, Zamboni Vinzenti, Lourse, Bott, Clotijn, Thour), kończąc tę listę słowami: „.... i może najzasłużniejszy, najgruncowniejszy polszczyzny ród Semadenich”. A następnie: „Zacznę od tej, z którą wiąże mnie najczęściej wspomnień, której wnętrze mam w oczach, a mianowicie od cukierni „Pod Filarami” B. Semadeniego. I mówiło się o niej

zawsze Semadeni bez względu na to, kto był jej kolejnym właścicielem: Lourse, Janowski, Zamboni czy naprawdę Semadeni (...). Wyroby każdej cukierni smakowały trochę inaczej i ja osobiście zawsze wolałam te u placu Teatralnego. Pamiętam sylwetkę starszego subiekta, dziś by powiedziano – kierownika: wysokiego bruneta o czarnym wypomadowanym ówczesną modą wąsach. Widzę go na tle oszklonych szafek z francuskimi likierami i portwinem, i szczególnie smaczny sokiem grenadinowym. Pamiętam jednego z najczęściej usługujących nam u Semadeniego garsonów (...) o głowie ogolonej przy samej skórze, wydatnych brwiach i sumiastych wąsach: rysował go Lenc, Kamiński, Kostrzewski...”

Waydel Dmochowska opisuje dokładnie urządzenie wnętrza cukierni (złożone lustra, czerwone plusze). Jej wyroby (sucharki polewane, babki i różki śmietankowe, petit-foury, ciągutki przypominają o ważności położenia tej placówki w sąsiedztwie Teatru Wielkiego, z którego foyer była połączona.

Prawdę mówiąc, cała ta miniona geografia kawiarniana Warszawy jest już dziś i mglistą i nieprecyzyjną. Pan Wojciech Herbaczynski, stary warszawski cukiernik, autor historii cukiernictwa polskiego, kwestionuje w rozmowie ze mną wiele informacji podawanych przez autorów wspomnień. Stwierdza między innymi, że na placu Teatralnym żądnych alkoholi – wyjąwszy okazje bali maskowych – nie podawano. Powiada kategorycznie, że w sławnej kawiarni było tylko jedno tremo, a czerwone plusze – w jednej sali. Dawny praktykant w pracowni cukierniczej w fabryce czekolady Semadenich na Leszno 64 nie zapomniał nigdy w życiu surowych kontroli szefa, który wchodził na salę produkcyjną, brał pod pachę pudełko czekoladek („takie za dwa ruble”) i następnie je otwierał – jeżeli czekoladki pomieszały się, trzeba było je starannie przepakować.

– Ale petit-foury u Semadeniego były? – próbuję jeszcze zweryfikować inne szczegóły.

– I jeszcze jakie!  
– Marcepanowe?

– Marcepan, szanowny panie, to dwie trzecie cukru z wodą i jedna trzecia migdałów. Petit-foury Semadeniego składały się w połowie z migdałami, w połowie z cukru na żółtkach. To był cud!

Tak czy inaczej, „słodki” Semadeni nie mógł uskarżać się na brak zainteresowania ludzi pióra. Pisało o nim wielu. Prus nazwał jego lokal „gieldą literacką”. Pisał Boy, Wroczyński, Zaruba.

To tu, „Pod Filarami” (być może), Franc Fiszler powiedział o najnowszej premierze sztuki teatralnej: „Sztuka jest bzdurą i koszmarem, a jej autor to krętny i grafoman”. Gdy skończył te słowa, rozpoznał w oczekującej na ocenę działającej autorki. Pocałował ją szamanko w rączkę i oświadczył: „Łaskawa pani, gdybyśmy teraz byli sami we dwoje w lesie, udusiłbym panią i nie byłoby dygresji”.

Po tej, nieco obszernej acz istotnej, gągry, czas wrócić do Semadenich.

Z czterech braci, synów Kacpra, dwóch – Kacper (1799–1861) i Jakub (ur. 1800, data śmierci nieznana) – osiedliło się w Łomży. Prowadził tam, naturalnie, cukiernie. Ożenił się z kobietami pochodzenia szwajcarskiego (z Marią Cortes z Davos i Judytą Ragazzi). Dwaj pozostali synowie Kacpra udali się do Lublina (Antoni, 1802–1870, ożeniony z Barbarą Cortes) i do Płocka, a następnie Kijowa (Andrzej, 1802–1886, ożeniony z Marią Ragazzi), prowadząc w miastach osiedlenia cennie cukiernie.

Najważniejszy jest dla nas Jakub, syn Kacpra, ponieważ on to był ojcem Bernarda, który stał się potentatem cukierniczym Warszawy po przeniesieniu się do niej z Łomży. Bernard (1827–1892, ożeniony dwukrotnie: z Urszulią Conzetti i Barbarą Steiner) zasłynął jako mistrz cukiernictwa, a także pełen godności obywatel Warszawy; w roku 1863 Bernard został aresztowany za aktywną pomoc powstańcom i zgodę na ich zebrania w cukierni, zwolniony dzięki wstawiennictwu ambasadora Francji w Petersburgu, który reprezentował Interesy Szwajcarii w Rosji.

Ryszard Jakub, syn Bernarda i Barbary (1874–1930, ożeniony z Eugenią Matossi), to drugi budowniczy semadeniowego imperium w Warszawie, ale też ostatni z nich. Gdy Bernard umierał, Ryszard miał około 18 lat i studiował na politechnice w Zurychu; przerwał studia, przyjechał do Warszawy i objął po ojcu cukiernię; rodzina wybrała Ryszarda, bo jego starszy o dwa lata brat był bardziej zaawansowany w studiach.

O końcowej fazie istnienia cukierni nad Wisłą – za chwilę. Na razie jeszcze słowo o Andrzeju, synu Kacpra, który przez Płock dotarł do Kijowa.

Tam, w Kijowie, powstała sławna cukiernia na Kreszczatku, o której wspominał później Jarosław Iwaszkiewicz. „Szwajcarzy kijowski”, przybyli do tego miasta po krótkim przystanku w Polsce, prowadzili placówkę o charakterze na wskroś polskim. W lokalu ich odbywały się zjazdy bogatego obywatelstwa polskiego, wszyscy w cukierni – nie wyłączając



kelnerów – posługiwali się językiem polskim. Konstanty Paustowski („Dalekie lata”, 1974, str. 77) pisze m.in. „U Semadeniego zbierali się machlerzy giełdowi i obliczali na stolikach zyski i straty”. Ten Semadeni przetrwał w Kijowie do rewolucji, ale podobno sławne jego cukierki o nazwie „Eliza” (imię drugiej żony Bernarda Ottona) przeżyły o wiele lat cukierkiem, która po Andrzeju prowadził jeszcze jego syn, Bernard Otton (1845-1907, ożeniony z Katarzyną Semadeni, a następnie Elizą Pozzi) i wnuk, Bernard Andrzej (ur. 1900, ożeniony z Aliną Kniżników). Ten ostatni powrócił w latach dwudziestych wraz z rodziną do Warszawy, a w roku 1939 – wyjechał do Berna.

W tym miejscu dygresja o Lublinie. Dłziesięcna cukiernia „Regionalna” przy Krakowskim Przedmieściu była pierwotnie cukiernią Semadeniego.

Założona w roku 1836, mieściła się na Krakowskim 27, niedaleko placu Litewskiego. W 1936 r. obchodziła stulecie; była wtedy prowadzona wspólnie z Domańskim. Był to najelegantszy lokal w Lublinie, z tarasem i pięknymi stylowymi meblami. Nazywała się cukiernią Semadeniego jeszcze w późnych latach czterdziestych. W latach pięćdziesiątych, po społecznieniu, cukiernię gruntownie odrestaurowano, zmieniając niestety jej tradycyjny wystrój i charakter. Starzy lublińscy do dziś nazywają ją cukiernią Semadeniego. Pani Semadeni żyła po wojnie w Lublinie, miała obywatelstwo szwajcarskie i w końcu chyba wyemigrowała.

Dodajmy jeszcze: założycielem cukierni lubelskiej był Andrzej, syn Kacpra (ur. 1802 w Poschiavo, zm. 1886 w Lublinie), jego syn również Kacper, zmarł w tym samym roku co ojciec (1831-1886). Pochowani na miejscowym cmentarzu. I jeszcze jedno. Córka Andrzeja, Anna Emilia, wyszła za Szniersztajna. Mieli oni aptekę „Szniersztajn-Semadeni” przy Ryнку.

Powróćmy jednak do Warszawy.

Arnold Semadeni, zwany w rodzinie „Noldim” (ur. 1914), pamięta jak przez mgłę sprzedaż przez ojca Ryszarda – było to w latach pierwszej wojny – dwóch warszawskich kawiarni, sprzedaż cukierni „Pod Filarami” i wydzierżawienie fabryki czekolady na Lesznie, cukiernikowi Baselgii – wyjazd całej rodziny z Warszawy do Szwajcarii, powrót w latach 1918-1920 i... ostateczną katastrofę; jej przyczyną stała się dewaluacja marki. Ryszard pracował u Lardellego, a Semadenim rządził już Baselgia. Rodzina zamieszkała wtedy na Dobrej, żyli dość skromnie. 56-letni Ryszard Jakub zmarł w roku 1930.

Niewiele pozostało dziś po cukierniczym mocarstwie szwajcarsko-polskiej rodziny. Czasem jednak ujawni się jeszcze jakaś pamiątka. Jak ta kopia obrazu Józefa Rapackiego (oryginał w Szwajcarii), którą można oglądać w Muzeum Teatru; dorozka warszawska przed frontem kawiarni „Pod Filarami”; na dalszym planie dwujęzyczny szyld firmowy.

3.

Naczelną postacią drugiej linii rodzinnej był Władysław Semadeni (1865-1930) syn Józefa (1812-1897), właściciela cukierni w Ogrodzie Saskim. Ożeniony z Heleną Haverkant (córka pastora ewangelicko-augsburskiego Adama Haverkanta, zesłanego na Syberię za udział w powstaniu 1863 r.). Przez czterdzieści dwa lata był pastorem, przez dwadzieścia – superintendentem Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, wiceprezesa konsystorza tego wyznania w Polsce. Był pierwszym pastorem czyli kierownikiem warszawskiego zboru.

Ten skromny, świetnie wykształcony człowiek, należał do znanych postaci na warszawskim bruku. Władł siedmioma językami żywymi, znał trzy języki martwe. Skończył konserwatorium, założył Towarzystwo Starej Muzyki w Warszawie. Sam chętnie muzykował; nie przepadał za muzyką nowoczesną, Debussy'ego ledwie tolerował. Znany był z tego, że chodził na koncerty z partyturą, śledząc wierność odtwarzania utworów.

Zanim Stefan Żeromski zmienił wyznania na ewangelicko-reformowane, prowadził długie rozmowy z księdzem Semadenim, które zapewne miały wpływ na jego decyzję. Gdy zmarł, ksiądz Semadeni odprowadzał go na cmentarz ewangelicki przy ulicy Żytniej.

Dokładny życiorys Władysława zamieścił organ Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, „Jednota”, tuż po jego śmierci (Nr 10 z 1930 roku). Dowiadujemy się stamtąd, że „urodzony w Warszawie z Józefa i Marii Anny z Ragazich małżonków Semadenich, kończył gimnazjum w Plocku, dokąd się rodzice jego z Warszawy przeprowadzili. Po uzyskaniu w roku 1883 matury, wstąpił ks. Semadeni na uniwersytet w Królewcu, zapisując się na wydział teologiczny. Po ukończeniu w roku 1887 studiów, ze stopniem kandydata teologii, powrócił do kraju i rozpoczął pracę w Warszawie przy boku księdza superintendenta A. Diehla jako jego substytut. W 1888 roku został duchownym Kościoła Ewange-



Bernard Semadeni 1827-1892



Ryszard Jakub Semadeni 1874-1930



Władysław Semadeni 1865-1930 w okresie pracy w Żychlinie

licko-Reformowanego i administratorem a następnie pastorem jednego z najstarszych zborów, w Żychlinie pod Koninem. Stanowisko księdza w parafii wiejskiej zmusza go do ciągłego borykania się z niedostatkami. Toteż ks. Semadeni jął się również pracy nauczycielskiej. Później przeniósł się do Kalisza, mając powierzony sobie obowiązek dojeżdżania zarówno do Żychlina jak i do zboru w Łodzi, zajmując się jednocześnie pracą nauczycielską w Kaliszu. Ta wyczerpująca i nie dająca wewnętrznego zadowolenia praca była powodem, że w polowie 1905 roku rzekł się czasowo stanowiska duchownego i poświęcił całkowicie pracy wychowawczo-pedagogicznej; objął stanowisko inspektora w świeżo założonym w Warszawie gimnazjum męskim im. Mikołaja Reya.

W kwietniu 1908 roku Władysław Semadeni powołany został na wakujące stanowisko pasterza zboru warszawskiego i w ten sposób powraca do swej uprzedniej i właściwej działalności duszpasterskiej. Powołany przez synod roku 1910, obejmuje godność superintendenta, tj. zostaje głową Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce”.

Po pierwszej wojnie światowej czynnie współdziałał w sprawie zbliżenia do siebie różnych wyznań ewangelickich w Polsce.

Dziś, po wielu latach księżda Władysława wspomina jego córka, Irena Elliott:

„Miał miłe, beztroskie usposobienie. W tym może leżała jego prawdziwa głęboka religijność. Nie był nigdy „świętoszkiem”. Często mówił, że pastor nie powinien zawsze wyglądać, jakby wracał z pogrzebu.

Muzyka niezawodnie była najgłębszą pasją tatuśka. Pamiętam, jak czytał partytury symfoniczne i jak rozjaśniał mi się i uduchowiał wyraz twarzy. Pamiętam jak wstając rano, śpiewał przy goleniu »Ridi pogliance... etc.«. Mamusia go wołała na śniadanie, a ja, mała dziewczynka, odpowiadałam »Tatusz jeszcze nie skończył pajaców«. Był Polakiem i polskim patriotą, ale żywił nostalgiczne uczucie do Szwajcarii. Nazywał Semadenich »nadwiślańskimi Szwajcarami«. Tatusz i jego siostra, Bronisława, mieli imiona polskie, choć ojciec ich nie mógł wypowiedzieć litery »t« i mówił »Władysław«. Tatusz miał obywatelstwo szwajcarskie do czasu, kiedy musiał je zmienić, bo został urzędnikiem stanu cywilnego (jako pastor). W czasie nauki w gimnazjum był jeszcze obywatelem szwajcarskim. Zdarzało się, że inspektor – Rosjanin – wyrwał uczniowi, aby wymieniali jakiś tam tytuł rodziny cara. Tatusz odmawiał, wyjaśniając: »jestem obywatelem szwajcarskim«. Klasa była zachwycona. Miał poglądy demokratyczne, ze Świętochowskim i Sieroszewskim zorganizował Towarzystwo Postępowe”.

Księżda Władysława Semadeniego pamięta też doskonale pani Celina Borowa, niegdyś aktorka, zaprzyjaźniona z domem pastora. Opowiada mi o nim, jakby chodziło o ludzi i wydarzenia sprzed kilku zaledwie lat:

„Ksiądz Władysław miał wielki urok osobisty. Był łagodny i serdeczny. Tak sobie zawsze wyobrażałam prawdziwego Europejczyka. Ogromna wiedz, szerokie zainteresowania, a przy tym ta urzekająca skromność. Pamiętam koncerty w jego salonie na ulicy Leszno 20, gdzie grał na fortepianie i skrzypkach, przeważnie z córką Ireną i księdzem Lothem. Pamiętam także jego mądre kazania, wygłaszane charakterystycznym matowym głosem. Był średnio wzrostu, korpulentny, miał wydatny nos, ciemne oczy, czarne wąsiki, nosił okulary w złotej oprawce”.

Pani Borowa wspomina liczne rodzinne spotkania Semadenich w mieszkaniu starej pani Kacprowej Semadeni obok kościoła świętego Antoniego na Senatorskiej. Gromadzili się tam zarówno Semadeniowie jak i powiązane z nimi rodziny Skierskich, Jelenów, Grabskich, Drege'ów, Godeckich.

W rodzinie Semadenich wspomina się, że gdy na świat przychodziło nowe dziecko, należało je pokazać babci Kacprowej. Rozwijająca pieluszkę, sprawdziła czy dziecko udane. Raz, w trakcie takich oględzin, powiedziała: „Jeżeli mnie pamięć nie myli, to to niemowlę jest płci męskiej”.

Cofnijmy się jeszcze o lat kilkanaście. W Kaliszu Helena Semadeni, żona pastora Władysława, prowadziła czteroklasową pensję dla dziewcząt. Uczęszczała do niej Maria Dąbrowska. Na kartach „Dni i nocy” opisała szkołę i pastorstwo Semadenich jako Wenordenów. Czytamy tam m.in.: „Pani Barbara zna tę rodzinę jeszcze z czasów młodości i ma do niej ogromne zaufanie. Całe życie umysłowe Kalifca zawsze się koło nich skupiało. Prenumerowali przy najmniej z dziesięciu pism angielskich, francuskich, rozmaitych”. (str. 363, wyd. 1972 r.). „Pan Wenorden, niewysoki, łęgawy brunet, wydawał się Agnisi bardzo przystojny, chociaż patrzył spoza binokli w osobliwy sposób, jak gdyby trochę zezem, co go jednakże nie szpeciło, a tylko nadawało mu wyraz figlarności. Mówił dużo, śmiał się...” (str. 7, t. II). „Państwo Wenordenowie także oboje wykładali. On geografii i kaligrafii, ona – historię powszechną. Ale byli tak zaprzątnięci sprawami zarządu szkoły, że się spóźniali na lekcje (...) Mimo to dziewczęta pasjami lubiły lekcje przelożonych, gdyż umieli oni w swoje skrócone godziny wnieść dużo życia, rozbudzić zachwyty i ciekawość dla wykładanych przedmiotów” (str. 64, tom II). „Do szkoły pani Wenordenowej nie mało uczennic chodziło za połowę wpisu, a nie brakło i takich, które uczyły się za darmo” (str. 74, tom II). „W szkole pani Wenordenowej nie uczono patriotyzmu mójego jako nienawisć, nie odczuwało się tam zresztą niewoli, żaden nacisk bowiem nie jest w stanie przeniżyć wszystkich bez wyjątku środowisk. Korzystając ze skromnej na krótką metę swobody hodowano też tam zyczliwość i zrozumienie dla ludzi, narodów i światów...” (str. 87, tom II).

Te fragmenty z książki Marii Dąbrowskiej doskonale charakteryzują ówczesną atmosferę szkoły, a także pokazują jakąś prawdę o postawie i cechach charakteru kaliskich Semadenich.

Na posiadany przez rodzinę egzemplarz „Dzieci ojczyzny”, wydanym w 1918 r., widnieje dedykacja: „Wielmożnym Państwu Władysławostwu Semadenim z podziękowaniem za trzy lata w ich szkole spędzone – najmlodsze lata szkolne – Marija Dąbrowska; wewnątrz, pod tytułem opowiadania „My, polskie dzieci!” – dedykacja drukiem: „Wielmożnym Państwu Helenie i Władysławowi Semadenim”.

„Jedynym gatunkiem fikcji, w którym nie brakuje prawdziwych postaci, jest historia” – zauważył Oscar Wilde. W historii rod Semadenich roi się od anegdot i opowieści, które łatwo wziąć za fikcję, a które pokazują nam ludzi „jak żywych”. Tak na przykład wiele opowiadano kiedyś o Helenie Semadeni, autorytatywnej, dominującej nad rodziną i otoczeniem żonie pastora Władysława. Gdy pastorstwo mieszkali na Lesznie, bywało, że pani Helena zbudzona zbyt głośnymi rozmowami pod jej oknem, wylewała na przedchodni dżban zimnej wody – ludzie na chodniku rozpiierzchali się w panice, a ktoś wołał: „Ajwaj, pani pastorowa się obudziła!”.

Dziećmi Władysława byli: wspomniana już Irena (ur. 1895, żona Johna P. Elliotta, zamieszkała od 1926 r. w USA) i Tadeusz (1902-1944, ożeniony z Ireną Konopacką).

Dokończenie za tydzień

„Stolica” rozpoczyna druk fragmentów kolejnej, trzeciej już serii Sag Warszawskich Olgierda Budrewicza, opowieści o losach rodzin zasłużonych dla kultury naszego miasta. Całość ukaże się nakładem Wydawnictwa „Czytelnik”.



# NADWIŚLAŃSCY SZWAJCARZY

(dokończenie z poprzedniego numeru)

Dzieje życia Tadeusza mogłyby stanowić kanwę osobnej powieści. Ten wybitny prawnik i znany sportowiec polski skupił w swej osobie cały dynamizm Semadenich, ich inteligencję i cenne przymioty charakteru.

W książce „Pół wieku Akademickiego Związku Sportowego” (Sport i Turystyka, Warszawa, 1962) znajdujemy biografię Tadeusza. Był twórcą Polskiego Związku Pływackiego, kapitanem sportowym tego związku, organizatorem meczów piłki wodnej, pierwszym sędzią waterpolowym w Polsce, mistrzem kraju w pływaniu na 100 metrów stylem klasycznym (1923), kierownikiem polskiej ekipy pływackiej na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 roku. Świetnie władał francuskim (przez rok uczęszczał do gimnazjum w Lozannie). Semadeniego-sportowca opisuje Stanisław Mielech, Kazimiera Muszałówna i wielu innych.

Tadeusz Semadeni skończył Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, został sędzią grodzkim, okręgowym, w końcu wiceprokuratorem sądu apelacyjnego w Warszawie.

Przez długie lata łączył obowiązki zawodowe z pasją sportową. Przemawiał w surowej tonie oskarżyciela i – krótko potem wskakiwał do basenu. Był autorem wielu opracowań z zakresu prawa, a także współautorem podręcznika techniki pływania (Ossolineum, 1928). Jeszcze po wojnie na łamach prasy sportowej przypominał głośny incydent, który zdarzył się Tadeuszowi Semadeniemu, gdy sędziował na basenie Legii mecz piłki wodnej między AZS-Warszawa a Makabi-Kraków: jeden z graczy Makabi, usunięty z gry za złośliwe faule, lekko pchnięciem wrzucił sędzię do wody, za co został dożywotnio dyskwalifikowany.

Wspomina niezjący dziś Stanisław Andrzejewski, profesor Politechniki Warszawskiej, długoletni sekretarz PZP: „W roku 1925 lub 1926 Tadeusz Semadeni sprowadził do Polski świetnego belgijskiego pływaka, van Schellaa, aby zdemontował nieznaną u nas wtedy styl – crawl. Semadeni podpytywał z van Schell'em motorówką do plaży, przez megafon ogłaszał, że stawny pływak zdemonstruje nowy styl, pozwalający bardzo szybko pływać. Poczem van Schell z nieznaną dotąd u nas prędkością pływał zarówno z prądem jak pod prąd. Nasi najszybsi pływacy płynąc pod prąd albo stali w miejscu albo byli przez prąd znoszeni. Nowy styl wzbudził zainteresowanie, van Schell nauczył Polaków nowoczesnego pływania.

Sędzia Tadeusz Semadeni był ojcem sportu pływackiego w Polsce. Był organizatorem i spiritus movens Polskiego Związku Pływackiego, autorem statutow, regulaminów i przepisów sportowych, inicjatorem szeregu imprez sportowych, które – jak np. wyścigi Hel-Gdynia – są nadal organizowane (pierwszy wyścig odbył się w 1930 roku, a wygrała go – przed mężczyznami – dr med. Stefania Kuliowska).

W chwili wybuchu wojny Tadeusz Semadeni zgłosił się na ochotnika do wojska. Działal następnie w konspiracji w Warszawie. M.in. przygotowywał

rozprawy prawnicze, dotyczące przysiężnej likwidacji skutków wojny. Zakopane w butelkach, zostały po wojnie przekazane Ministerstwu Sprawiedliwości. Mieszkanie Semadenich przy ul. Noakowskiego 20 było też miejscem pobytu skoczaków przybyłych z Anglii o czym będzie mowa dalej, tu prowadzone było też tajne nauczanie.

W czasie powstania Tadeusz Semadeni był przewodniczącym komisji (trybunału ludowego), która na terenie obwodu Śródmieście-Południe sądziła osoby współpracujące z okupantem.

W przededniu powstania Tadeusz Semadeni zbudził swego starszego syna, szesnastoletniego Alika (Allana Andrzeja) i powiedział: „Ali, jedź do Otrębusów i przywieź Zabę” – tak zwało młodszego syna, dziesięcioletniego Zbyszka – „Powstanie potrwa że trzy dni. Żaba nigdy nie daruje nam, gdyby nie był świadkiem tej historycznej chwili”.

Alik, członek Szarych Szeregów, był bardzo silny, pełen życia i energii. Kolejny zwali go „Bomba”. Był zapalonym mechanikiem. Skupował części na Kercelaku, czyścił je z rdzy i zmontował w ten sposób tokarkę. Jeszcze po wojnie wspominało w Zawoi, że podczas kilkumiesięcznego pobytu w 1943 r. udoskonalił pracując tam urządzenia do obróbki drewna. W pierwszych dniach powstania Alik gasił pożary na strychach w okolicach ul. Noakowskiego; po kilku dniach z dumą oświadczył, że awansował do obsługi karabinu maszynowego na Politechnice. Był żołnierzem batalionu kpt. Golskiego. Zginął 19 sierpnia 1944 roku. Tego samego dnia poległ Tadeusz Semadeni. Alik, trafiony w brzuch kulą dum-dum, zmarł na stole operacyjnym przy ul. Lwowskiej. Ciało Tadeusza, mimo uporczywych poszukiwań po wojnie, nie odnaleziono.

Pozostało wiele wspomnień okupacyjnych o Tadeuszu Semadenim, niezwykłym człowieku. O swoim najbliższym współpracowniku pisał przewodniczący Wojskowego Sądu Specjalnego Obszaru Warszawskiego Armii Krajowej, Władysław Sieroszewski („Najnowsze Dzieje Polski”, tom VIII, PWN, 1964), wspominał swego kuzyna serdecznie Stanisław Lorentz („W Muzeum i gdzie indziej” Walka o dobra kultury, tom 1, str. 31 PIW 1970), kreślił jego sylwetkę zwierchnik i przyjaciel, profesor Mieczysław Siewierski: „Semadeni wywiązywał się zawsze ze swych obowiązków wzorowo. Był predestynowany do zajęcia poważnych stanowisk w wolnej Polsce. Stało się jednak inaczej. Cechy jego charakteru sprawiły, że rzucił się w powstaniu w wir walki – z impetusem, z prostej pobudki do czynu, aby życie złożyć w ofierze cnoty wojskowej – wirtuoty militarni”.

Zachował się nekrolog z powstańczej „Rzeczypospolitej” (25.8.44): Dnia 19 bm zginęli śmiercią żołnierską

ś.p.

TADEUSZ SEMADENI

Wiceprokurator Sądu Apelacyjnego w Warszawie, Współpracownik Delegatury Rządu na Kraj, oraz syn jego

ALIK  
16-letni harcerz

I krótka relacja z ostatnich chwil życia ojca i syna:

„Nadeszła noc z 18 na 19, noc grozy. O godzinie 4 rano wróg z trzech stron przypuścił atak na Politechnikę. Walka toczyła się przed domem, w którym mieszkał ś.p. Semadeni. Z niepokojem ojciec przyglądał się walce, prowadzonej przez naszych żołnierzy, w których gronie znajdował się również Alik. Wreszcie nie wytrzymał i sam poszedł do boju. Widziano go, jak z butelką benzyny rzucił się na czołg, który skierował na niego swe śmiertelne pociski. W tym czasie Alik walczył z wrogiem, nie wiedząc, że tuż obok ojciec jego już poległ. Bezwiednie mścił śmierć ojca, siejąc śmierć w szeregach wroga. Śmierć żołnierska nie ominęła i Alika. Oddał młode życie za Ojczyznę. Cześć pamięci Tadeusza Semadeniego! Cześć pamięci Alika!”

Powróćmy teraz na ulicę Fałata i powiedzmy słów kilka o obecnych.

Pani Irena Semadeni, długoletni profesor chirurgii szcękowej, dziekan wydziału stomatologii Akademii Medycznej w Szczecinie, żona Tadeusza i matka Alika, była w dniach powstania lekarzem na Czerniakowie. O swoich przeżyciach mówi teraz niezwykle lakonicznie. Okupacyjne i powstańcze dni relacjonuje z dystansu, kontrolując się, czy nie są one zbyt dla obecnych zanadto zabarwione uczuciami.

Irena Semadeni (pseudonim Doktor Konstancja) otrzymała na czas powstania przydział do szpitala ZUS na Czerniakowie. Niedaleko stamtąd w pierwszych dniach sierpnia utworzono nowy szpital w opuszczonym przez uciekających Niemców domu przy ul. Okrąg 4a. Dr Konstancji przydzielono dom z kilkunastoma sanitariuszkami-harcerkami; była tam jedynym stałym lekarzem.

Nadzieja Drucka, komendantka szpitala przy ul. Okrąg (pani O'Brien de Lacy) opisuje w swej książce („Trzy czwarte wspomnienia”, PIW, Warszawa 1977) epizod powiadomienia Ireny Semadeni o śmierci jej męża i syna:

„Nie wiadomo, dlaczego dowódca zgropowania właśnie Ninco, szesnastoletniej, najmłodszej z sanitariuszek, powierzyła tę misję. Prężyć się na baczność Ninka powiedziała bezbarwnym głosem:

— Pani doktor, zawiadamiam panią, że mąż pani i syn poległi wczoraj podczas obrony Politechniki.

— Paź, lecz nie za długa, by stała się dramatyczna, a potem ciche pytanie:

— Czy znasz szczegółów?

— Tak jest, pani doktor.

Usiadły, rozmawiały w prowizorycznej sali opatrunkowej na parterze, przy oknie.” (str. 174).

Doktor Konstancja, dowiedziawszy się o śmierci męża i syna, poszła nocą do śródmieścia i zabrała młodszego syna, Zbyszka, do siebie.

Stanisław Bajer w artykule „Szpital Dr Konstancji” („Służba Zdrowia” z 23.III.1969) pisze: „W początkach września cały Czerniaków stanął w ogniu walki, a dom Okrąg 4a został



Tadeusz Semadeni (1902–1944)

zbombardowany. Rannych bez strat udało się przenieść do piwnic sąsiedniego, masywnego gmachu Banku Polskiego. Z dnia na dzień, a potem z godziny na godzinę warunki pracy w szpitalu ulegały pogorszeniu. Brak światła w piwnicach, woda z pompy na podwórzu, piwnice zatłoczone rannymi”.

Po zniszczeniu części domu przy Okrąg 2 przez goliaty, w trakcie zacieklej walk o ten dom, szpital ewakuowano przez piwnice domów Wilanowska 24 i 22 do domu Wilanowska 18. Którejś nocy przyszła wiadomość, że ppłk Radosław rozkazał wycofywać się kanałami na Mokotów. Lżej ranni mieli iść z nim. Szukano szczołek mogących służyć im za kule. Ciężej ranni musieli pozostać. Dr Konstancja zwolniła sanitariuszki, sama zdecydowała się trwać razem z rannymi. Zostali przebrani w cywilne ubrania, zabrano im dokumenty i odznaki wojskowe. O godzinie 6 weszli Niemcy.

Dr Konstancja rozmawiała z ich dowódcą, młodym blondynem, oficerem SA. Zapewniała, że wszyscy ranni są osobami cywilnymi. Oficer niezbyt przekonany robił poszukiwanie po piwnicach. Potem spokojnie nałożył białe rękawiczki, obchodząc kolejne posłania i strzelał do leżących w czoło. Dr Konstancji kazał stwierdzać zgon. Rozstrzelał w ten sposób 110 osób...

Z egzekucji ocalała pewna liczba osób: niektórych oficer przeoczył, kilku innych żyło mimo postrzału w głowę, bądź zdołała ich ukryć dr Konstancja.

W książce „Drogi Cichociemnych” (Londyn, 1954 na str. 324), opisana jest ta egzekucja. Czytamy tam m.in. „Dopiero po wyjściu Niemca dr Konstancja wyciągnęła spośród trupów siedemnaście osób, które jeszcze żyły. Opatrzyła rany i umieściła je w jednej piwnicy. W czasie jej zabiegów wpadł tam nagle oficer SS pytając, co tu robi skoro jej pacjenci zostali już zlikwidowani. Odpowiedziała, że 17 osób jeszcze żyje i że nawet w średniowieczu był zwyczaj, iż pozwalano żyć tym, którzy przeszli próbę ognia, a ci ludzie chyba ją odbyli. Oficer ten, Austriak, zgodził się na ewakuację rannych. Część ewakuowano partiami i – jak później relacjonowano – zostali gdzieś rozstrzelani. Siedmiu rannych razem z dr Konstancją i jej synem przeżyło przy ul. Okrąg 2 do kapitulacji powstania; przez prawie 2 tygodnie po wypędzeniu ludności byli bodajże jedynymi pozostałymi przy życiu ludźmi w tej części Czerniakowa”.

Na wieść o kapitulacji powstania dr Konstancja udała się do siedziby gestapo w alei Szucha, gdzie wytargowała przepustkę, zezwalającą na wstęp na Czerniaków i ewakuację rannych. Kilkakrotnie znajdowała mężczyzn, którym zależało na dostaniu się do tej



# FRANCISZEK PRZED PĘSKO JOSIP TITO W WARSZAWIE - 1946

dzielnicy; dr Konstancja brała ich na swą przepustkę w zamian za obietnicę wyniesienia noszy ulicą Książęcą w górę do szpitala przy Mokotowskiej 56 lub do „Sano” przy Lwowskiej. Po wojnie okazało się, że wszystkich siedmiu rannych szczęśliwie przeżyło.

Skądinąd wiadomo, że Irena Semadeni zyskała u Niemców wiele zaszczytne przewisko: die Hexe, Czarnownica.

Cofnijmy się jeszcze nieco w czasie. Mało pisano dotąd o niezwyklej roli, jaką odegrały w latach okupacji „ciotki”, owe bohaterkie opiekunki skoczków spadochronowych. Jedną z nich była właśnie Irena Semadeni. Przez jej mieszkanie i „ręce” przeszło trzynastu „cichociemnych”, w tym jedna kobieta.

Doktor Konstancja jest autorką wspomnienia o Cioci Antosi (Michalińce Wieszniowskiej), naczelnej opiekunce „cichociemnych” poległej na Czerniakowie w dniach powstania. W tym szkicu o Cioci Antosi i mało znanym rozdziale walki konspiracyjnej czytamy m.in.:

„Po wyładowaniu i przybyciu do Warszawy skoczek – spadochronowy – zanim mógł przejść do wykonywania swych zadań – musiał przystosować się do nowych warunków. W tym celu oddawano go pod wyłączną opiekę jednej z „ciotek”, która miała przez 4–8 tygodni uczyć go codziennego życia w okupowanej Warszawie. Nawet ci skoczkowie, którzy mieszkali przed wojną w tym mieście, okazali się zupełnie nieprzygotowani do specyficznych, zmienionych warunków życia, a byli również i tacy, którzy w ogóle nie znali Warszawy. Po otrzymaniu wiadomości o spodziewanym przybyciu „ptaszka” aż do chwili jego przybycia nie wolno mi było wyjść z mieszkania. Gdyby bowiem przybyły dowiedział się, że mnie nie ma w domu, potraktowałby mieszkanie jako „spalone” i znalazłby się w bardzo trudnej sytuacji.

Uzgodniłyśmy z Ciocią Antosią hasło, jakie mieli podawać zgłaszający się skoczkowie: „Przyjeżdżam ze Stawek”. W Stawkach na Wołyniu mieszkali nasi krewni, hasło brzmiało więc naturalnie dla każdego z 5–6 stale mieszkających członków mojej rodziny. Nowo przybyły przedstawiany był jako znajomy lub daleki krewny i niektórzy, w szczególności dzieci, nie domyślali się niczego. Mieszkanie było duże, 6-pokojowe i nieraz przebywali u nas krewni z różnych stron.

Wielogodzinny lot z Anglii do Polski z użyciem aparatów tlenowych, wysiłek i napięcie psychiczne towarzyszące lądowaniu skoczka i przedostawaniu się do Warszawy i wreszcie relaks po szczęśliwym dotarciu na miejsce – wszystko to sprawiło, że skoczkowie spalili jak zabici przez pierwszą dobę. Trzeba było jakoś to wyjaśnić niewtajemniczonym domownikom, stwierdzając np., że gość jest chory.

Po odespaniu i oswojeniu się z nową sytuacją, ptaszek zaczynał chodzić ze mną na spacer: sam mógł wyjść po raz pierwszy na ulicę dopiero po jakichś dwóch tygodniach.

Trudno było przewidzieć, w czym się może objawić nieprzystosowanie nowo przybyłego, jakie głupstwo może mu strzelić do głowy. Skrajnym przykładem braku przygotowania był „Szary”. W czasie naszego pierwszego spaceru ulicą Emilii Plater we wrześniu 1943 r. stwierdziłam, że zniknął nagle jak kamfora. Zaglądałam do okolicznych bram i niepokoiłam się coraz bardziej. Po 10 minutach zjawił się wyjaśniając: „Zobaczyłem nadchodzących żołnierzy niemieckich, musiałem się ukryć”. Ten odruch, typowy dla żołnierza z frontu, w Warszawie mógłby go szybko zgubić”.

Prawdę mówiąc, przedziwne jest to personalne zestawienie uczestników spotkania na ulicy Falata. W jakimś sposób wydaje mi się ono symptomatyczne dla historii tego rodu.

Arnold przybył ze Szwajcarii, gdzie jest dzisiaj dyrektorem jednej z największych w świecie fabryk aparatów do geodezji i fotografem „Wild – Heerbrug” w Kantonie Saint Gallen. Arnold mówi płynnie po polsku, wychował się przecież w Warszawie, skończył Szkołę Ziemi Mazowieckiej na Klonowej, i dopiero po śmierci ojca w 1930 roku wyjechał z ulicy Rozbrat do Szwajcarii. „Noldi” czuje się zresztą nadal związany z Polską – zwozi do Polski dary w postaci cennego sprzętu do kartografii i geodezji, przyjmując w Szwajcarii polskich specjalistów.

Trzeci z obecnych w spotkaniu Semadenich, to Zbigniew, dziś zastępca dyrektora Instytutu Matematycznego PAN. Prowadzi badania naukowe w zakresie matematyki czystej, a ponadto od 10 lat zaangażowany jest w sprawę reformy nauczania matematyki w klasach najmłodszych (m.in. wielokrotnie prowadził wykłady telewizyjne w ramach NURT).

W rozmowie z przedstawicielem tygodnika „Kultura” (z 3 czerwca 1979 roku), profesor Zbigniew Semadeni powiedział m.in.:

„Matematyka to bardzo istotny składnik wykształcenia ogólnego, naszego sposobu myślenia, naszej kultury. Wszystkie wielkie cywilizacje: egipska, babilońska, grecka, chińska, indyjska, arabska, kultura Majów – to zarazem rozkwit matematyki. Dotyczyło to jednak tylko pewnej elity umysłowej. Dziś oświata jest masowa. Każdemu dziecku chcemy zagwarantować prawo do optymalnego rozwoju, a to obejmuje m.in. optymalny rozwój zdolności matematycznych, na miarę danego dziecka.

(...) Ciągle niepokoi mnie tendencja przerozetyzowania nauczania, zastępowania autentycznej wiedzy zdobywanej przez dziecko wiedzą wyuczoną. Za dużo abstrakcyjnych wywodów, za mało ciekawych zadań. (...) Jedną z kluczowych spraw jest zacieranie przeciwstawienia zabawa-nauka. Staramy się więc doprowadzić do tego, by dzieci – przynajmniej te młodsze – nie traktowały uczenia się jako przykrego obowiązku”.

Jak widać, po latach koncentracji zainteresowań członków rodziny Semadenich na dwóch-trzech profesjach, nastąpił okres ogromnego rozruchu kierunków zawodowych. Czyli – by powtórzyć konstatację ze wstępu – bogacili i bogacą kulturę tego kraju w rozmaitych dziedzinach.

Wszystko, co opowiedziano powyżej, stanowi część przekazu ustnego, fragmenty ocalałych dokumentów. Reszta jest milczeniem. Strefa milczenia w tym mieście obejmuje ogromne przestrzenie, zubożając dramatycznie skarbnicę wiedzy o historii narodu i stolicy.

Jedynie strzępy dóbr materialnych pozostały po dwustu prawie latach istnienia i działania w Polsce wielkiej rodziny z Poschiavo. W mieszkaniu na Falata stoi świadek wyjątkowy: bogato inkrustowana sekretera, którą ok. 1840 roku przywiózł do Polski Gian Giacomo Ragazzi, dziad Władysława. W albumach pozostało nieco fotografii z dawnych lat, w szufladach nieliczne listy, dyplomy, bibeloty. Coś zachowało się jeszcze w Szwajcarii. Jakaś stara papierosnica z napisem „Zacnemu Dyrektorowi – wdzięczni uczniowie klasy III gimnazjum im. Reya. 1908 r.” spoczywa w Ameryce u Ireny Elliott. Niejedno mówią napisy na kamieniach nagrobnych na Żytnej.

I to by już było prawie wszystko.

Przed 34 laty, będąc adiutantem Wyższej Szkoły Oficerskiej WP miałem możliwość znaleźć się w bliskim otoczeniu przywódcy Jugostawii Josipa Broza Tita, podczas jego wizyty w stolicy. Na zaproszenie prezydenta Krajowej Rady Narodowej oraz rządu, marszałek Tito (ówczesny premier rządu FLRJ, minister obrony narodowej oraz wódz naczelny armii jugosłowiańskiej) przybył 14 marca 1946 r. do Warszawy. Powitanie dostojnego gościa, przywódcy narodów jugosłowiańskich w walce z okupantem hitlerowskim odbyło się na przedmieściu zburzonych stolicy, we Włochach – tam, gdzie tymczasowo urzędowało Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego i niektóre wydziały organizacyjne wojska. Po przyjęciu raportu od dowódcy kompani honorowej WP, Tito wygłosił krótkie przemówienie przed mikrofonem Polskiego Radia dał wyraz zadowoleniu, że osobie może pozdrowić naród polski w imieniu rządu i narodów Jugostawii. Mówił, że „Przyjaźń zawarta w czasie wojny między walczącymi z tym samym wrogiem, narodami Polski i Jugostawii, jest gwarancją trwałego sojuszu, gwarancją szczęśliwej przyszłości naszych państw”. Broz Tito jadąc samochodem z podstołecznych wówczas Włoch przez spaloną Wolę do Belwederu, z wielkim zainteresowaniem przyglądał się ogromnym zniszczeniom Warszawy. Po przybyciu do Belwederu, w sali Pompejańskiej został przyjęty i bardzo serdecznie powitany przez prezydenta Bolesława Bierutę. W następnym dniu – 15 marca, w Belwederze, prezydent KRN marszałka J. Broza Tita udekorował Krzyżem Wielkim Orderu Wirtuti Militari. Tego dnia, jugosłowiański gość po złożeniu kilku wizyt u przedstawicieli władz państwowych i komunalnych – zwiędział Warszawę. W tym czasie miałem możliwość z bliska przyrzeć się przywódcy Jugostawii. Ładnie prezentował się w dobrze dopasowanym mundurze. Spod generalskiej czapki rozchodziły się po skroniach lekko siwiejące włosy. Miał wówczas niewiele ponad 50 lat. Z jego szczerego uśmiechu i łagodnych oczu można było wyczytać dobroć. Z sympatycznym wyrazem twarzy spoglądał na otaczających go oficerów WP, na mundury i barwne rogatywki. Swoją osobistą skromnością jakby przybliżał ludzi, z jego zachowania można było wyczuć twardą wolę, niezłomność i siłę charakteru. Marszałek Tito, patrząc na Warszawę, krótko mówił o walkach z hitlerowskimi okupantami w Jugostawii. Mówił, że w czasie wojny „walkę zaczęliśmy

z prawie pustymi rękami, bez broni maszynowej, bez amiat. Dopiero w boju zdobyliśmy na Niemcach automaty, granaty i armaty. W pierwszych dniach partyzanckiej wojny, wielu moich żołnierzy miało tylko kindżały, broń w rodzaju długiego moza o głowni obosiecznej. Nasi żołnierze i nasz naród doznali wiele złego. W niedługim czasie nasi żołnierze bezbłędnie poznali taktykę wroga, jego błędy operacyjne w terenie. Atakowaliśmy wroga niespodziewanie, ponosili on duże straty. I my partyzanci również ponosiśmy straty w walkach, napotykał się różnego rodzaju trudności, lecz nigdy w sercach żołnierzy nie gasła wiara w zwycięstwo. Ja zawsze zdumiewałem się ich fizyczną wytrzymałością w tak gorące lata, jak i w mroźne, śnieżne zimy. Społeczeństwo nasze wszędzie okazywało nam pomoc w zaopatrzeniu, w wyżywieniu, a nawet w dostarczaniu broni. Później, ta pomoc nadeszła od sojuszników.” Wpatrzony w warszawskie gruz, Tito mówił: „Powiem Wam, że wiele widziałem w życiu ogromnych zniszczeń, ale to miasto – Warszawę widzę najbardziej zniszczone”. 16 marca, w godzinach rannych marszałek Tito z marszałkiem Michałem Rola-Żymierskim, generacją, zaproszonymi gośćmi odwiedzili Szkołę Podchorążych. Po defiladzie miejscowego garnizonu oraz po żołnierskim śniadaniu w namiocie polowym, odbyły się pokazowe ćwiczenia lotnicze kierowane przez gen. Romeykę. Po powrocie do Warszawy, Tito był na przedstawieniu w Teatrze Polskim. W programie przewidziane było przedstawienie I aktu „Lilli Wenedy” oraz występ baletu Koperskiego, który zaprezentował wiele tańców ludowych.

W niedzielę 17 marca, o godz. 12 w Alejach Ujazdowskich (w odcinku między placem Na Rozdrożu a Bagatelą) odbyła się defilada oddziałów Wojska Polskiego. Na prowizorycznej małej trybunie stali marszałkowie Rola-Żymierski i Broz Tito, a obok nich przedstawiciele najwyższych władz państwowych i towarzyszących gości jugosłowiańskich. 18 marca Broz Tito – w pałacu Myślewickim, w Łazienkach – spotkał się z dziennikarzami prasy polskiej i zagranicznej. Z tej konferencji tego samego dnia został nadany reportaż dźwiękowy Polskiego Radia. Nadane zostały także przemówienia marszałka Tita i premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego. Następnego dnia, serdecznie żegnany marszałek Josip Broz Tito opuścił granice naszego kraju, udając się przez Pragę do rodzinnej Jugostawii.

Marszałek Tito na Placu Zamkowym przy Nowym Zjeździe podczas pobytu w Warszawie, w marcu 1946 r.

Fot. Archiwum CAF





IV Korespondencja

(1994 - 1994) k h





W/1

18 grudnia 1994 r.

Mgr inż. Krzysztof Ćwiertniewski  
ul.  
94-046 Łódź

Szanowny Panie,

W odpowiedzi na list z 12 bm. uprzejmie informuję, że niestety nie wiem nic o „Cioci Antosi” ponad to, co zostało opublikowane, i to, co napisała moja Matka. W latach siedemdziesiątych napisała ona tekst *Wspomnienie o „Cioci Antosi”*, ok. 4 stron maszynopisu, który został później wykorzystany (w skrócie) w jakimś opracowaniu. Nie wiem, jakim tekstem Pan dysponuje. Jeżeli nie ma Pan wspomnianej wersji maszynopisowej, to mogę spróbować ją znaleźć.

W maszynopisie tym Mama moja napisała, że w jakiś czas po opuszczeniu Czerniakowa przez powstańców (tj. pod koniec września 1994 r.) poszła nad brzeg Wisły, gdzie zobaczyła (w okolicy wraku statku „Bajka”) trupa Cioci Antosi. W pierwotnej wersji napisała, że poszła tam ze mną, co jest zupełnie niemożliwe, ja na pewno nie byłem wtedy nad Wisłą, musiałbym to pamiętać (miałem wtedy 10 lat). Wykreśliłem więc fragment mówiący, że Mama była tam ze mną. Trudno było mi kwestionować, że była tam może sama, ale nadal uważam za nieprawdopodobne, by Mama rzeczywiście tam była. Nie rozstawała się wtedy ze mną, nie było też powodu chodzenia nad Wisłę, gdzie był silny obstrzał niemiecki (po drugiej stronie Wisły byli Rosjanie). Chodziliśmy wtedy głównie w poszukiwaniu żywności, a także, by się czegoś dowiedzieć o losach Powstania. Może Mama słyszała, że Ciocia Antosia zginęła nad Wisłą, a potem po latach zdawało się Jej, że sama widziała ciało.

Sanitariuszki mojej Mamy też miały wątpliwości co do tej relacji, bowiem jakoby widziano Ciocię Antosię w Śródmieściu tuż po kapitulacji Powstania. X

Tyle potrafię powiedzieć. Sam Cioci Antosi nie pamiętam, choć podobno Ją znałem.

Łączę wyrazy szacunku

Zbigniew Semadeni

X Jest niemożliwym aby „Ciocia Antosia” przeżyła Powstanie 2 talwością odemulowały rodzinie, skoro ja po 50 latach odnalezieniem domu Jej teściów, potem panus-tele po niej, a także Jej i moich kolegach w Ameliance k. Kielc  
K. Ciel 51



Wpłynęło dnia 1. XII. 1997

L.dz. 1741/WSK/97

18.XI.1997

*Leona Semadeni*

Prof. Elżbieta Zawacka  
ul. Gagarina 136 m. 26  
87-100 Toruń

Wielce Szanowna Pani Profesor,

Na prośbę pana inż. K. Cwiertniewskiego z Łodzi, przesyłam w załączeniu napisaną przeze mnie informację o mojej Matce, Irenie z Konopackich Semadeni. Napisałem to kiedyś jako materiał źródłowy dla rodziny i dla różnych opracowań. Wykorzystane to było m.in. przez J. Supadego przy opracowywaniu noty o mojej Matce w Polskim Słowniku Biograficznym oraz przez Ewę z Ponińskich Konopacką w Ottawie przy opracowywaniu książki o rodzinie Konopackich, której egzemplarz pozwalam sobie przesłać w darze dla gromadzonych zbiorów (są tam również wspomnienia z Powstania kilku innych Konopackich, nigdzie poza tym nie publikowane).

Dodam, że w książce *Rapsodia Żoliborska* wydanej po wojnie autor określił Ewę Ponińską słowami „łączniczka Ewa, najdzielniejsza z dzielnych”. W Encyklopedii Powstania Warszawskiego wymieniona wśród kawalerów orderu Virtuti Militari.

Łączę wyrazy szacunku,

*Zbigniew Semadeni*  
Zbigniew Semadeni

adres: ul.  
02-534 Warszawa  
telefon domowy:  
e-mail:

*nadstana parycja*

*„Kronika rodu Konopackich ...” pata. zbiory biblioteczne*



listy 2, Semadeni

IV/13

listy 2 Semadeni

kopia

L 1741

Toruń, 2 XII 1997

wystano L 1758

Pan Zbigniew Semadeni

ul.

T. Grese Semadeni

02 534 W a r s z a w a

Szanowny, Drogi Panie,

Dziękuję Panu za przysłanie cennej relacji o służbie  
żołnierskiej Pana Matki i za piękną książkę "Kronika Rodu  
Konopackich", wywodzącego się z Pomorza.

Znałam Pana osobiście jako syna mojej "Ciotki CC". Przebywając u  
Was od 10 lub 11 września 1943 roku na ul. Noakowskiego, co  
wieczór z Ojcem i Bratem Pana przesuwaliśmy chorągiewki frontu  
wschodniego na dużej mapie, wiszącej w wąskim, tak to pamiętam,  
pokoju. Jakże miło i serdecznie wspominam kilkudniowy pobyt u

Was, a zwłaszcza Pana Matkę tak życzliwie mną się opiekującą. O tym,  
ze Ojciec i Brat Pana pełnili w czasie Powstania, dowiedziałam się  
ponieważ w czasie trwania Powstania.

Łączę wyrazy szacunku i najserdecznej pozdrawiam

Elżbieta Zawacka  
Cielwicińska, Z.

Ps. Czy mógłby Pan do naszego dobrze rozwijającego się Archiwum  
Wojskowej Służby Kobiet, gromadzącego materiały historyczne  
dotyczące służby kobiet na wszystkich frontach II wojny  
światowej, (tamże znajduje się teście Pani Matki) przysłać dane o Ewie Ponińskiej, a może także o  
innych znanych Panu żołnierzach-kobietach ?

ΣΣ



**Elżbieta Zawacka**  
87-100 Toruń, ul. Gagarina 136 m 26  
Tel. 517-344

Toruń, 2 XII 1997

*Ldc 1758123K197*

*T. Irena Semadeni*

Pan Zbigniew Semadeni

ul.

02 534 W a r s z a w a

Szanowny, Drogi Panie,

Dziękuję Panu za przysłanie cennej relacji o służbie żołnierskiej Pana Matki i za piękną książkę "Kronika Rodu Konopackich", wywodzącego się z Pomorza.

Znałam Pana osobiście jako syna mojej "Ciotki CC". Przebywając u Was od 10 lub 11 września 1943 roku na ul. Noakowskiego, co wieczór z Ojcem i Bratem Pana przesuwalimy chorągiewki frontu wschodniego na dużej mapie, wiszącej w wąskim, tak to pamiętam, pokoju. Jakże miło i serdecznie wspominam kilkudniowy pobyt u Was, a zwłaszcza Pana Matkę tak życzliwie mną się opiekującą.

O tym, że Ojciec i Brat Pana polegli w czasie Powstania, dowiedziałam się jeszcze w czasie trwania Powstania.

Łączę wyrazy szacunku i najserdecznej pozdrawiam

*Elżbieta Zawacka*  
*Cicho i miło, Zo'*

Ps. Czy mógłby Pan do naszego dobrze rozwijającego się Archiwum Wojskowej Służby Kobiet, gromadzącego materiały historyczne, dotyczące służby kobiet na wszystkich frontach II wojny światowej (tamże znajduje sięteczka osobista Pana Matki), przysłać dane o Ewie Ponińskiej, a może także o innych znanych Panu żołnierzach-kobietach ?

*ΣΣ*



T. Głębok

AK  
N-wa

SEMADENI Jrena  
zd. Konopacka

V Wypisy ze śródek k. 8



i  
H T: 697/WSK  
KONOPACKA Irene  
zam. Semadeni

AK  
W-we

Konopacka VII zam. Semadeni jest nią ś.p. Dr. Irena Konopacka, żona Tadeusza Semadeni, w czasie okupacji "Ciotka" cichociemnych, których przechowywała w swoim mieszkaniu w Warszawie. W czasie Powstania Warszawskiego ratowała rannych na Mokotowie jako lekarz. Jest ona ciotką mojego męża.

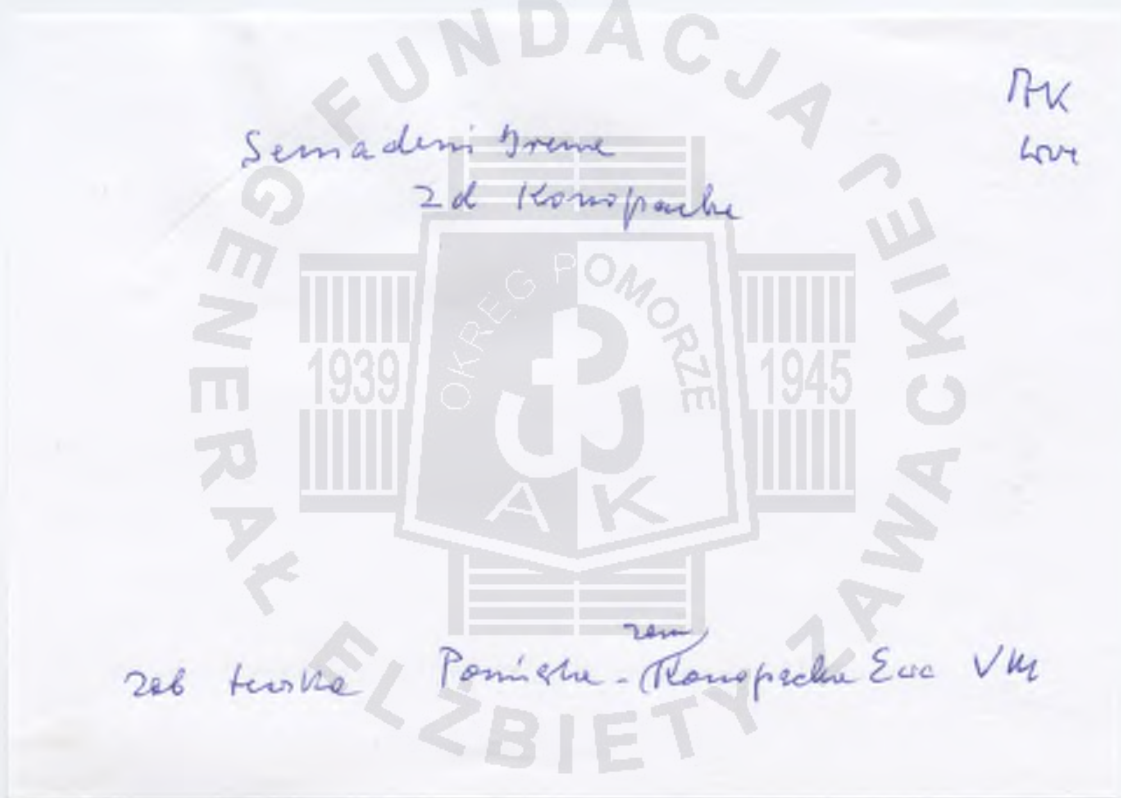
fakty, Zd

Załączam książeczkę zawierającą zyciorysy Jadwigi i Ireny Konopackich, którą napisałam w 1994 roku p.t. „Kronika Rodu Konopackich z Konopat i Polkowa” Zyciorys Jadwigi Konopackiej jest oparty na jej własnych wspomnieniach. Ś.p. dr. Irena Konopacka-Semadeni jest ciotką mojego męża. Jej zyciorys opisał bardzo dokładnie jej syn dr. Zbigniew Semadeni, matematyk, mieszkający w Warszawie.

Zob. List Ewy Pominkowej - Konopackiej  
do E. S. 2 14 1 02.  
0. 02. 01 89 WSKO 2  
0. 02. 11 02



275





a

J 647

PK  
W12

Ronopachis greine  
zamyzne Semadem





a

J. 647

AK  
lwa

Semademi hrene

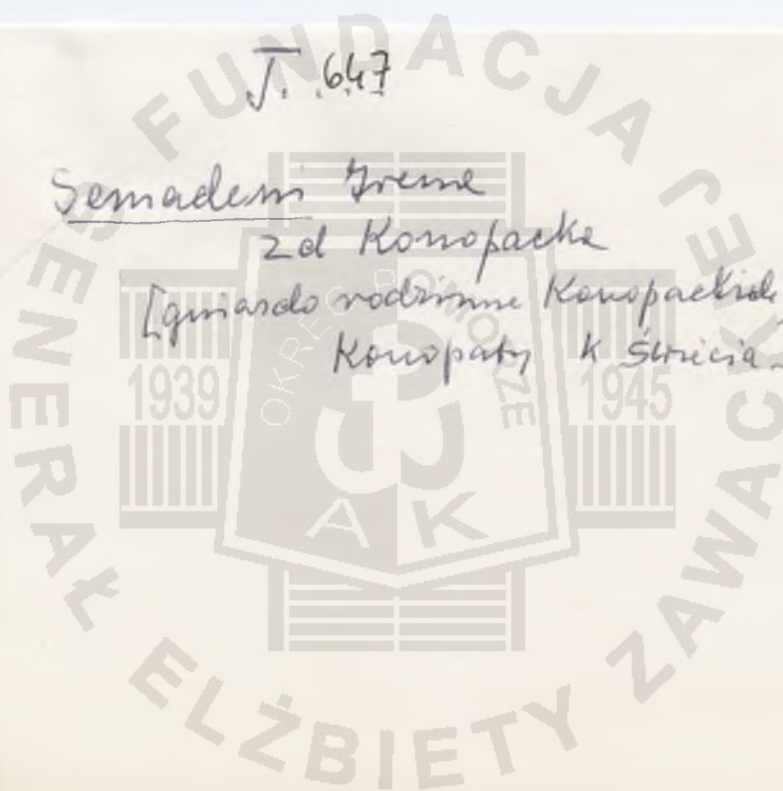
z d. Konopacke

[quando rodnimne Konopackide  
Konopaty k. Stricia]

1939

1945

AK





a

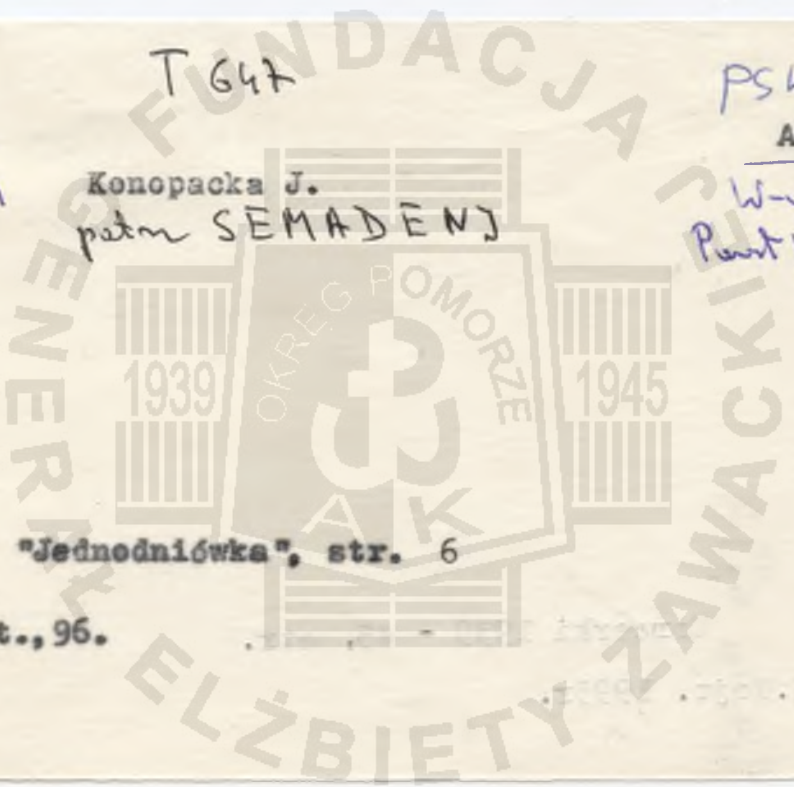
T 647

PSK  
AK

++  
1984

Konopacka J.  
pamięć SEMADENJ

W-wa  
Pierot Wolski



"Jednodniówka", str. 6

K.Wojt., 96.



1

T. 647

Ciathacc 17K  
WVE

Semadlen yrene ps, Konstanja

2 d Konopacku

nr 5v 1901 v hotary me Wveinu

rod 1928 Semadleni

mnahata lowa ml Moakowkny 20

syn 17let i supz Taidlano prajeli v Parstam

16let

syn 2hrych 10 let

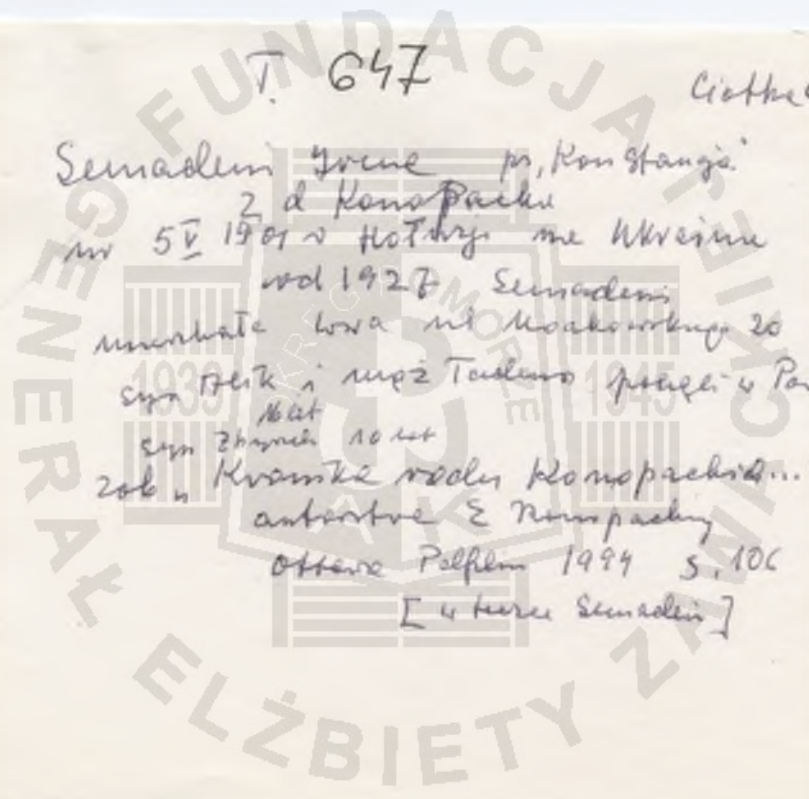
19 VIII 1999

zob n Kramke rodu konopacki...

antentve z Konopacky

ottave Polfilm 1994 5. 106

[ 4 karee Semadlen ]



E. Konopacka, Kronika rodu  
Konopackich, Ottawa, Pelplin 1994.

Zob. Biblioteka WSK



Książkę dot. Rodu Konopackich  
wypożyczyła Kasia M.

10.XI.1979

Kosio Kucylowska



†† 1984

SEMADENI Inna (1927)

zd. Konopacka

AK  
W-wa  
Nieto

647/WSK  
64



SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI

— SEMADENI Irena

z d. Konopacka

647/W6k

**I. Materiały dokumentacyjne**

I/1 – relacja właściwa ✓

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

**II. Materiały uzupełniające relację** ✓

**III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):**

III/1 – dot. rodziny relatora ✓

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

**IV. Korespondencja** ✓

**V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”]** ✓

**VI. Fotografie** ✓

